NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb 60 kop., z przesyłką pocztową 6 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 22 maja 1909. Nr. 21.

Zamach polityczny.

(Treść na str. 2).



Zamach polityczny.

(Do illustracyi tytułowej).

Sensacyjne zajście o podkładzie politycznym, rozegrało się przed kilku dniami w Paryżu. Zajście



Chybiony strejk pocztowo-telegrafiezny: Żołnierze strzegący wagonu pocztowego na dworcu kolejowym.

to jest echem wypadków rewolucyjnych w Rosyi i stoi z nim w ścisłym związku. W jednym z paryskich hoteli mianowicie, wykonano zamach na życie pułkownika policyi rosyjskiej, von Kottena.

Wedle opisu francuskich dzienników, geneza zajścia i jego przebieg były następujące. Do Paryża przybył niedawno z Nicei wysoki urzędnik policyi w Moskwie, pułkownik von Kotten, przebywający z powodu choroby na urlopie. W Paryżu odwiedził jednego z byłych rewolucyonistów, a następnie ajenta policyi Michała Witkowa. Podczas tych odwiedzin wykonał Witkow zamach na Kottena, strzeliwszy doń kilkakrotnie z rewolweru. Gdy zaś strzały chybiły, rzucił się na pułkownika Kottena, chcąc go udusić. Wskutek jednak strzałów i odgłosów szamotania nadbiegli sąsiedzi i uwolnili Kottena z rąk Witkowa, którego policya uwięziła.

W czasie przesłuchania zeznał aresztowany, iż nazywa się właściwie Rips, że pochodzi z Warszawy, a w Moskwie przebywał przed kilku laty, celem studyowania medycyny na tamtejszym uniwersytecie. Wciągnięty w wir robót konspiracyjnych, oddał im się całą duszą, jako jeden z wybitnych członków partyi rewolucyjnej. W międzyczasie porzucił medycynę, a oddał się studyom w Akademii rolniczej, którą też z pomyślnym wynikiem ukończył. Wnet potem wpadła policya w Moskwie na trop stowarzyszenia rewolucyjnego, którego członkiem był Witkow-Rips. Aresztowany i zasądzony na osiedlenie w kraju Uralskim, przebywał tam cały rok, poczem udało mu się zbiedz. Powrócił do Moskwy, gdzie jednak wpadł znowu w ręce policyi, skutkiem czego czekały go dożywotnie roboty. Chcąc uniknąć tak strasznej kary, zgłosił się do pułkownika Kottena i ofiarował mu usługi swoje jako tajny ajent policyjny, a mógł to uczynić tem łatwiej, że już po pierwszem aresztowaniu, von Kotten przedstawił mu taką propozycyę, przyrzekając w zamian uwolnienie. Witkow-Rips chciał jednak tylko pozornie wejść w stosunki z policyą i w charakterze ajenta opuścić Rosyę. Zaproponował więc, by go wysłali do Paryża, bo w Moskwie nie czuje się bezpiecznym, zwłaszcza że uwolnienie z więzienia w tych warunkach, mogłoby stanowić dla rewolucyonistów powód podejrzeń. Pułkownik Kotten zgodził się na to i Witkow-Rips zaopatrzony w dokumenty i pieniądze wyjechał do Paryża. Tam oddał się studyom, utrzymywał przytem stosunki z partyą rewolucyjną, komunikował się też listownie z Kottenem, zapowiadając na najbliższej przyszłości szereg rewelacyi.

Właśnie w tym czasie von Kotten rozchorował się i uzyskawszy urlop, wyjechał do Nicei, a wracając stamtąd wstąpił do Paryża, by zobaczyć się z ajentem Witkowem. Schadzka odbyła się w mieszkaniu Witkowa, w jednym z podrzędnych hoteli paryskich. Tu też nastąpił zamach.

Witkow-Rips zeznał w śledztwie, że chciał zemścić się za postępowanie Kottena i zrehabilitować się zupełnie. Z rewolucyonistami w ostatnich czasach prawie się nie stykał. Pracował tylko naukowo.

Sprawę jego sądzić będzie sąd paryski.

Chybiony strejk pocztowo-telegraficzny.

W ostatnich czasach mnożą się oznaki, że we Francyi przygotowuje się głęboko sięgający przewrót społeczny. Ułatwia go niejako i przyspiesza obecny ustrój rządowy, który stracił poparcie u olbrzymiej większości Francuzów. Z jednej strony stronnictwa konserwatywne nie znikły jeszcze z powierzchni życia politycznego we Francyi — jak się



Wiec w ratuszu: Scena z wiecu w chwili objęcia przewodnictwa przez prezydenta miasta dra Lea

tam łudzą republikanie — z drugiej zaś, na podłożu socyalizmu rozrosły się potężnie syndykaty zawodowe, które swiadome swej siły, zaczynają odgrywać z całą bezwzględnością rolę rządu w rządzie. Wola ich kierowników popycha dziesiątki tysięcy



Kandydat na premiera: Juliusz hr. Andrassy.

pracowników w każdym zawodzie do strejków i to bez względu na szkody, mogące stąd powstać nietylko dla reszty społeczeństwa, ale nawet dla samych strejkujących.

Jednym z takich strejków, na jakich obie strony kolosalnie tracą, jest właśnie powtórzony obecnie we Francyi strejk funkcyonaryuszy pocztowych, telefonicznych i telegraficznych, który ma swoją główną siedzibę w Paryżu, a wywołany został przez odnośny syndykat.

O strejku poprzednim, zakończonym zaledwie kilka tygodni temu, podawaliśmy w naszem piśmie liczne szczegóły. Tym razem zaś zaznaczamy, że strejk obecny, wywołany temi samemi przyczynami, a mianowicie niechęcią do kilku najwyższych urzędników w ministerstwie, żądaniami lepszego awansu, podwyższenia płac i t. p., zupełnie się nie udał. Wpłynęły na to rozmaite przyczyny. Przedewszystkiem ten drugi strejk nie zaskoczył niespodziewanie rządu, który miał czas przygotować środki zaradcze, a następnie strejkujący nie znaleźli poparcia u społeczeństwa, które nie zapomniało jeszcze



Chybiony strejk pocztowo-telegraficzny: Żołnierze wyładowujący pakunki pocztowe na dworcu kolejowym.

dotkliwych strat, poniesionych podczas pierwszego strejku i w którem obudziły się słuszne obawy na punkcie obniżenia przez takie strejki pocztowo-telefoniczne i telegraficzne zdolności obronnej kraju na wypadek wojny.

Z tych przyczyn uważać trzeba ostatni strejk za zupełnie chybiony. Najlepszym tego dowodem, że wedle ostatnich doniesień z Paryża, który jest przecież głównem ogniskiem strejku, na 26.046 urzędników pocztowych wszelkich kategoryj, strejkuje tylko 1917. Rząd zaś, nie oglądając się na groźby komitetu strejkowego, wydalił już ze służby paruset funkcyonaryuszy strejkujących. Na prowincyi ruch strejkowy także z dnia na dzień słabnie.

Ryciny nasze przedstawiają interesujące momenty ze strejku, w których żołnierze odgrywają, jak umieją, rolę pocztowców. Na jednej z rycin widzimy młodego żołnierzyka, któremu niewiasty dopomagają w rozdawnictwie listów, na innych znów oglądamy żołnierzy, spełniających funkcye służby pocztowej na dworcu kolei de l'Est w Paryżu.

Wiec w ratuszu.

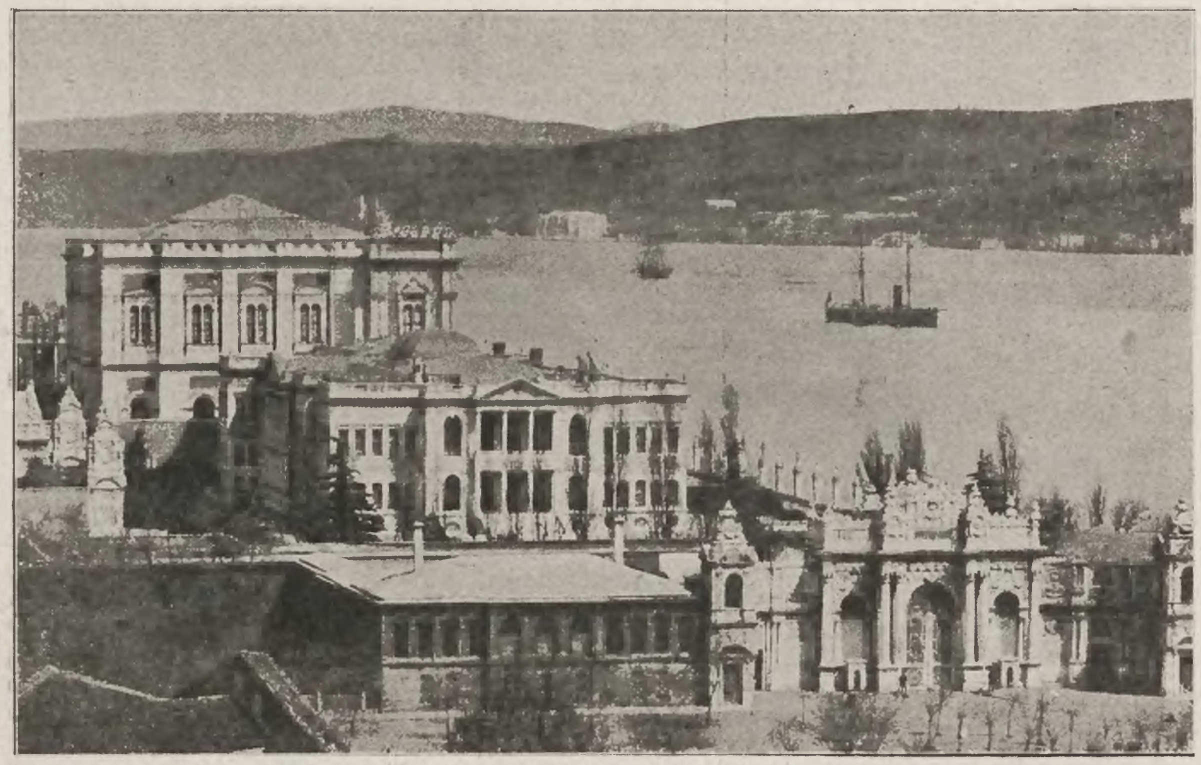
W ubiegłą niedzielę odbył się w podworcu magistratu krakowskiego wiec publiczny w sprawie



Kapela studencka w Krakowie: Uczniowie gimnazyum im. św. Jacka tworzący kapelę studencką.

odłączenia Chełmszczyzny. Na wiec przybyło bardzo wiele osób ze wszystkich sfer społecznych i reprezentujących wszelkie odcienie polityczne.

Przewodnictwo złożono w ręce prezydenta miasta dra Lea. Po szeregu przemówień, wygłoszonych przez mowców kilku stronnictw polskich, uchwalono rezolucyę odpowiednią, poczem prezydent dr. Leo zamknął wiec.



Pierwszy selamlik nowego sułtana: Pałac Dolma-Bagdże, rezydencya sułtana Mahometa V.

Kapela studencka w Krakowie.

Festyn na kolonie wakacyjne w Krakowie, jest corocznie wielkiem świętem studenckiem a zarazem popisem gimnastycznym i muzycznym. Więc i ostatni, w ubiegłą niedzielę w parku Jordana urządzony festyn zgromadził na miejscu zabawy nieprzeliczony tłum młodzieży wszelkiego wieku oraz mnóstwo doborowej publiczności, spragnionej miłej zabawy na wolnem powietrzu.



Zasądzenie dygnitarza policyi: Były szef departamentu policyi Łopuchin.

Kulminacyjnym punktem wspaniałego programu były popisy kapeli gimnazyum im. św. Jacka i chóru tego zakładu. Produkcyami swemi zdobyły one palmę pierwszeństwa. I nic dziwnego, gdy się zważy, że kapela pozostaje pod kierunkiem doświadczonego muzyka p. Kamlera, a chóry pod batutą prof. Stanisława Bursy, zaszczytnie znanego u nas śpiewaka kompozytora.

Wogóle zakład św. Jacka, na którego czele stoi wielki miłośnik muzyki radca St. Bednarski, sam niegdyś wyborny śpiewak, posiada od dawna świetne pod tym względem tradycye.

Kapela gimnazyum św. Jacka wykonała w czasie festynu niedzielnego cały szereg trudnych, prawdziwie koncertowych utworów, wykazując niepospolite w amatorskich ansamblach zgranie się i harmonijność. Słuchając wybornych produkcyi miało się wrażenie, że to popis najlepszej kapeli wojskowej, tak czyste, tak piękne były dźwięki. Słusznie też cieszy się ona opinią najlepszej z pośród orkiestr studenckich w Krakowie. Słusznie też i publiczność i młodzież otacza ją zawsze wielką sympatyą.

Rycina nasza przedstawia grupę członków tej orkiestry studenckiej z kapelmistrzem p. Kamlerem w pośrodku.

Goście japońscy w Austryi.

W dążeniach swoich do coraz dalszego i gruntowniejszego przyswajania sobie zdobyczy cywilizacyi europejskiej na wszystkich polach, nabrali Japończycy przekonania, że do tego celu najlepiej służy nie sama teorya, lecz naoczne przekonanie się o tem wszystkiem, co należałoby do ich ojczyzny przeszczepić. Nieustannie też wysyłają oni do Europy i Ameryki północnej liczne misye dla badania rozmaitych gałęzi handlu, przemysłu, rolnictwa, wychowania publicznego i t. d.

Jedna z takich misyj bawi właśnie w Austryi, a złożona jest z trzech oficerów japońskich, należących do sztabu generalnego. Zadaniem jej jest zbadanie ustroju szkół wojskowych w rozmaitych mocarstwach europejskich, gdyż Japonia, jako pierwszorzędna dziś potęga militarna, pragnie swe szkoły wojskowe postawić na najwyższym stopniu doskonałości, tak pod względem teoretycznym, jak i praktycznym.

Rycina nasza przedstawia ich w gronie nauczycieli wojskowej niższej szkoły realnej w Fischau, od której Japończycy zaczęli systematyczne zwiedzanie wojskowych zakładów naukowych w Austro-Węgrzech. Byli oni obecni na wykładach, począwszy od klasy najniższej, dalej na mustrze i strzelaniu, a nieopuścili także gimnastyki, pływania i obiadu wychowanków, poczem wyrazili się nader pochlebnie o tem wszystkiem, co widzieli w zakładzie, wychowywującym najmłodszych kandydatów na przyszłych oficerów austryackiej armii.



Pierwszy selamlik nowego sułtana: Sułtan Mahomet V. w drodze na selamlik.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

21 Ciąg dalszy.

Gdy się wreszcie obudził w nocy, zroszony, z pełzającymi ślimakami po twarzy, z głową ociężałą, niezdolną do powiązania żadnych myśli, spostrzegł Bop, iż znajduje się w głębi lasu wśród nocnych ciemności.

XI.

ZJAWIENIE SIĘ WIERY.

Aurora i Joanna rzuciły się w objęcia Wiery, która mimo pozornego swego chłodu, uściskała je serdecznie. Jakaś radość zmięszana z obawą, wywołaną tajemniczością ich spotkania, zapanowała w tem małem kółku.

— Co za droga niespodzianka! Nasze serca przeczuwały ją, czyż nie prawda Auroro? — mówiła Joanna ze łzami rozczulenia, przypatrując się odnalezionej przyjaciółce.

Obie przeraziły się zmianą, jaka w niej zaszła. Postarzała się nie o dziesięć, lecz dwadzieścia, trzydzieści lat. Napozór była ta sama twarz, te oczy zimne błyszczące, postać szczupła i drobna, plecy jednak przygarbiły jej się, chód stał się ciężki, zmęczony.

— Znajdujecie mnie zmienioną, prawda? Tak, wiele przecierpiałam dla sprawy, której służę...

Słowa te przypomniały im dawne uczucie lęku, jakie zawsze ogarniało je na myśl o tajemniczem życiu Wiery. Joanna zwłaszcza, mając w świeżej pamięci dramat, jakiego świadkiem była w pociągu, rozmowę z panią Berty, domyślała się jakiejś tajnej, podziemnej pracy politycznej i trwożyła się o swą przyjaciółkę.

— Wiero droga, wiesz, jak jesteśmy ci oddane. Powierz nam swe troski.

— Nie — odparła Rosyanka. — Jeżeli ja zniknęłam, to dlatego tylko, by was nie kompromitować. Śledzona byłam przez tajną policyę i lepiej może byłoby, bym was i dzisiaj nie widziała.

— Co ty mówisz?

— Tak, lecz nie miałam siły oprzeć się mej chęci. Ścigana bezustannie, usłuchałam tylko mego serca i jestem tutaj. Dowiedziałam się, Joanno, że zawsze o mnie myślisz....

— Dowiedziałaś się?...

— Tak, przed kilku tygodniami od osoby, z którą rozmawiałaś....

Wątpliwości Joanny rozprószyły się. O kim Wiera może mówić, jeżeli nie o tajemniczej pani Bercie, występującej raz jako restauratorka, drugi raz jako wielka dama i morderczyni.

— Zdecydowałam się więc zobaczyć was, by dowieść jak was kocham. Niewiadomo, czy jeszcze zobaczymy się kiedy!

— To zbyt okrutne, odnaleść cię, by zaraz stracić.

— A jednak to konieczne. Należymy do dwóch odrębnych światów. Ja wyrzucona poza nawias towarzystwa, praw, ciągle w buncie przeciw władzom, kobieta, która może zginie w więzieniu, jak już siedm lat przesiedziałam wśród okrutnych mąk w fortecy, jakże ja mogę wchodzić z wami w stosunki, które wam tylko zaszkodzą. Widzicie jednak, że w najgorszych chwilach pamiętałam o was i cieszyła mnie myśl, że wreszcie po zmartwieniach osiągnęłyście spokój.

— Wiero droga — rzekła pani Morailles, ściskając jej ręce — co możemy dla ciebie uczynić?

— Nic nie możecie, ja wam chyba w chwilach niebezpieczeństwa może będę w stanie pomódz. Mam przyjaciół tajemnych, niepodejrzanych.

— Wszystko pamiętamy, coś dla nas uczyniła; czyż bez ciebie mogłabym dać życie Jackowi? —odezwała się Aurora.

— Mówcie, lecz nie o tem, co już się odbyło; chwile nasze są policzone. Chcę wiedzieć o waszych radościach i smutkach, o niebezpieczeństwach, które wam groziły i grożą jeszcze.

— Jakto? skąd wiesz?... — zapytała zdumiona Aurora.

— Wiem... A jaki wasz Jacek jest miły i ładny. Czuwajcie nad nim dobrze...

— Jakto, toś ty go widziała? Kiedy?

— Przed chwilą w zamku, gdy chodził koło cieplarni razem z Andrzejem.

— Więc tam byłaś ukryta?

— Tak, lecz nikt mnie nie spostrzegł. Chciałam widzieć Jacka; dojrzałam także i człowieka, który nie zawahałby się nad jego zgubą.

Aurora zbladła, serce zaczęło jej bić.

— Kogo? Chyba nie mego męża?

— Tak, jego.

— Nie mogłaś go spotkać, gdyż jest w Paryżu.

— Nie jest w Paryżu. Widziałam go jak wychodził z parku, przez małe zielone ukryte drzwiczki.

— Pewna jesteś tego?

— Najpewniejsza. Kto tak poznał pana Morailles, jak ja, zawsze go pamiętać będzie. Nie jestem bojaźliwa, a jednak twarz jego przestraszyła mnie; wierzcie mi, że knuje jakąś zbrodnię.

— Obecność jego teraz — rzekła Joanna — gdy miał bawić w Paryżu, jest podejrzana.

— Słuchajcie mnie. Może się zdarzyć, że będziecie mnie potrzebowały; jeżeli będę mogła stawić się osobiście, liczcie na mnie. Gdy mnie nie będzie, idźcie pod ten adres: Montrouge, impasse Vauehart 2, mieszka tam szewc, Włoch, zapytacie o właściciela: Simoni i powiecie mu to słowo: *Veronella*. On już wszystko zrobi, wierzcie mu.

— Wiero, Wiero, cóż my możemy zrobić w zamian dla ciebie?...

— Dosyć mi, że mam wasze uczucie...

W tej chwili zapukano do drzwi i wszedł doktór Morane.

— Moje drogie dziecko — odezwał się do Wiery — Piotr uwolnił nas od szpiega, który się wkręcił do mnie, by cię zgubić. Jeżeli chcesz teraz jechać, gdy zapewnione masz bezpieczeństwo....

— Zaraz, niech tylko podziękuję za gościnność...

— Nie masz za co. Jesteś moją uczenicą i przyjacielem, doktorem oddanym nauce i ludzkości. Zawsze, w każdym wypadku dom mój dla ciebie otwarty.

Nastąpiło długie pożegnanie przyjaciółek, które zamieniły ostatnie uściski ze łzami w oczach.

— Proszę nie odprowadzać, by nie widziano pań razem — rzekł doktór.

Gdy następnie doktór towarzyszył Aurorze i Joannie do wyjścia, rozległ się nagle tupot koński i przed sztachetami zatrzymali się dwaj konni żandarmi. Zeskoczyli z siodeł i jeden z nich, brygadyer, z ręką przy kepi, zwrócił się do doktora, patrząc bystro na obie damy.

— Przepraszam, proszę wybaczyć, panie doktorze. Poszukujemy niejakiej Wiery Niespow, oskarżonej o udział w zamachach kryminalnych. Te osoby...

— ...są pani markiza Morailles i pani Le Chars, żona konsula francuskiego z Wenecyi.

— Przepraszam, proszę wybaczyć. Nie podejrzewam tych dam, lecz z raportu przysłanego żandarmeryi wypływa, że wzmiankowana osoba znalazła schronienie we własnem i osobistem mieszkaniu pana doktora.

— Źle pana, brygadyerze, poinformowano — odparł doktór.

— Przed dziesięcioma minutami spotkaliśmy wolant pana doktora, który poznał obecny tu żandarm Cornuflet po niebieskich kołach, w środku znajdował się młody osobnik?...

— Mój siostrzeniec, doktór Mahes.

— I drugi osobnik płci żeńskiej?

— Siostrzenica mojej gospodyni, Emilia, którą odwoził do miasta. Może pan sprawdzić to.

Ton szczerości i powagi w głosie doktora, który kłamał może po raz pierwszy w swem życiu, wywarły wrażenie na brygadyerze.

— Przepraszam, proszę wybaczyć, panie doktorze. Rozkaz przedewszystkiem. Zdam sprawę, komu należy. Moje uszanowanie!

I przyłożądzy ręce do kepi, obydwaj żandarmi wskoczyli na konie i odjechali kłusem w przeciwną stronę, niż Piotr i Wiera.

— Och! — odetchnął ciężko doktór, gdy zniknęli na zakręcie.

. . . .

Gdy pan Morailles blady i zmęczony wszedł do willi swej kochanki, Maud Kiss nie mogła powstrzymać okrzyku:

— Co ci się stało Henryku! Jesteś cierpiący?

I zręcznie schowała list, który właśnie pisała. Pan Morailles nie zwrócił chwilowo na to uwagi, potem dopiero przypomniał sobie ten szczegół.

— Nie, kłopoty tylko.

— Mój biedny królu, to ty nie jesteś u siebie szczęśliwy?

— Dobrze, że ciebie mam, moja mała Maud!

— Tak, masz mnie... Całą i wierną i... Ale wiesz, na wsi... Natura bardzo piękna, ale w tym sezonie trochę za ostra. Zaczynam tęsknić za Paryżem, bulwarami, światłem!

— Dobrze — rzekł pan Morailles, przystając na jej życzenia — jedźmy tam.

Skoczyła mu na kolana, otaczając go swoim gibkiem ciałem.

— Ach, jakiś ty dobry! A kiedy mi wyrobisz debiut w „Komedyi Francuskiej“?

— Zdawało mi się, że w „Operze Komicznej?“

— O, śpiew... Wiesz, ja nie bardzo się na tem znam. Deklamacya, jak „Bartet“, to daleko szykowniejsze. Chcesz, żebym ci zadeklamowała „Andromachę?“

— Dobrze, lecz czy przedtem nie mogłabyś mnie poczęstować gorącą herbatą?

— Biedny Henryś! A więc naprawdę pojedziemy do Paryża?

— Jak tylko zechcesz.

— A więc jutro?

— Dobrze, niech będzie jutro.

— I pozostaniemy tam we dwoje?

— Ty przynajmniej, jeżeli ci na tem zależy.

— A ty?

— Ja tylko mam wolne poobiedzie i co kilka dni wieczór. Telefon nas łączy; a ulica Spontini nie daleko.

Tam miała Maud malutki pałacyk w ogródku, umeblowany przez markiza jak bombonierka.

— To dobrze, wiesz, ja tęsknię za sklepami.... Już ani jednej sukni nie mam do włożenia.

— Doskonale się bez nich obywasz.

— To komplement, ale nie dowód.

— Dobrze, żeś mi przypomniała — rzekł, wyjmując z portfelu kopertę z banknotami. Oto na suknie.

— Och, jaki ty jesteś piękny i dobry mój królu! Tak, jesteś prawdziwym moim królem! Poczekaj, zaraz ci przygotuję herbaty; dużo cytryny, prawda? I rumu?

— O, tak!

Ruchy Maud zdradzały jakiś wdzięk przyrodzony; ciało jej z drgającemi muskułami gięło się jak trzcina; z całej jej postaci płynął jakiś lubieżny powab. Pan Morailles odmłodzony jej żywością, uśmiechał się do niej radośnie.

— Ty nie chcesz Henryku, żebym ja mówiła o twoich kłopotach, ale...

— Nie, są przedmioty, o których nie możemy rozmawiać...

Rzuciła do góry swój pantofel różowy i wyciągając do kominka zgrabną nogę w czerwonej, jedwabnej pończosze, obnażoną aż do łydki, zaczęła:

— Tak nie możemy... ale kobieta, która cię kocha, może dać dobrą radę.

— Już dosyć jestem duży, by wiedzieć, co mam robić.

— Tak, to twoja męska duma... Ale możesz pozwolić swojej Maud, która cię kocha zapytać o jedno?

— Mów.

— Domyślam się, że w domu to ty masz piekło, twoja żona...

— Proszę cię, nie mówmy o pani Morailles — odrzekł, marszcząc brwi.

— O, już się gniewasz!... Lecz dlaczego ty się nie rozwiedziesz?

— W moim świecie to nie przyjęte.

— Aha, to to się nazywają zasady u was. Możesz przecież wziąć separacyę.

— Nie — odparł niecierpliwie.

— Dlaczego?

— Za dużo jest powodów, by je wyliczać. Zresztą, już ci o tem wspomniałem... Separacya zawsze jest skandaliczna, a do tego ze względu na swe nazwisko i przyszłość swego syna nie mogę dopuścić. Dzięki Bogu, dosyć jest miejsca w zamku dla mnie i dla pani Morailles. Wogóle małżeństwo w naszym świecie jest związkiem opartym na konwenansach i interesie i dlatego rozwiązanie jego nie zależy tylko od uczuć obu stron.

— Aha, pieniądze!... — rzekła Maud, zrzucając drugi pantofel, by lepiej ogrzać się przy kominku. — A pani markiza Morailles, patrz, kładę rękawiczki, by mówić o niej, czy jest dość bogatą.

— Tak, przed trzema laty odziedziczyła wielki spadek po babce Haut-Briand, która była milionerką.

— Tyś mi raz mówił, że miała zamek historyczny koło Rennes.

— Wiesz więc tyle, co i ja.

— Jest bardzo bogata?... Ale to ty rządzisz jej majątkiem i swym.

— Mąż jest głową całego domu, dowiesz się o tem w swoim czasie.

— Jeszcze nie prędko. O ile...

— O ile co?...

— Nic, tylko myśl jedną miałam.

Myśl ta prześladowała ją dawno... pan Morailles, rozwiedziony lub tylko w separacyi, będzie dla niej tem cenniejszą i łatwiejszą zdobyczą. Małżeństwo niemożebne między nią i markizem, lecz jeżeli on uwolni się od wszystkich więzów, może zacie-

śnić się między nimi związek trwalszy jeszcze od małżeństwa.

Maud miała umysł praktyczny. Nie lubiła cygańskiego życia, chyba że ono toczy się wśród złota. Zachodziła na giełdę i odwiedzała swą skrzyneczkę w Credit-Lyonnais. Mistress Harden zbyt przewrotna, by dotrzymała słowa, opowiedziała wszystko Maud. Opowiedziała jej o staraniach magnata austryackiego, który obsypałby ją złotem.

Hrabia Hartenberg był już starym, apoplektycznym, bez rodziny. Markiz szczodry bardzo, nie był jednak rozrzutnym, jakimi bywają zakochani starcy. Hrabia pisywał błagalne listy i jemu właśnie odpowiadała Maud, gdy wszedł pan Morailles.

Markiz powstał:

— Teraz, kiedy dzięki tobie rozgrzałem się i odpocząłem już, odchodzę. Do widzenia Maudiuette. Jutro przyjdę i pojedziemy do Paryża.

Uściskała go, sprowadziła na dół, jeszcze raz uściskała i wróciła do siebie, by dokończyć listu do hrabiego Hartenberga.

Pan Morailles wracał szybko i doszedł już do ogrodzenia parku, gdy spotkał człowieka, który wychodził z lasu. Poznał w nim Bougneau, zwanego ojcem Castagnette, z zamkniętym koszykiem w ręku.

— A to pan markiz. Przestraszyłem się. Myślałem, że to leśniczy.

— Kłusownictwa jeszcze nie zaprzestaliście?

— Tak, ale to na zwierzynę, która nie jest zabroniona, panie markizie. Kłusownictwo dobre dla młodych. Dzisiaj ja nie mam wielkich potrzeb. Ani żony, ani dzieci. Oby tylko starczyło na fajkę i kieliszeczek...

— A cóż macie w tym koszyku? Grzyby? Możecie je przynieść do zamku.

— Pan markiz jest bardzo dobry. Ja nigdy nie zapominam o łaskawości dla siebie. To nie grzybki. To żyjące stworzonko.

— Wiewiórka?

— Nie, czerwona żmija dla pana doktora Morane, który mówił, że kupi odemnie.

— Na co?

— Pewnie, żeby ją pokrajać, albo ugotować z niej rosół, bardzo skuteczny, jak mówią, na wiele chorób.

Zapadła noc. Nie można było widzieć rysów twarzy pana Morailles.

— Rzekł obojętnym głosem:

— To sprzedajcie mnie swój koszyk. Właśnie doktór ma przyjść do zamku. Zrobię mu niespodziankę. Macie pięć franków.

— O, dziękuję panu markizowi. Ale trzeba dobrze uważać na koszyk, by nie uciekła. Ona gryzie. Gdy w zeszłym miesiącu ukąsiła drwala, przeniósł się na tamten świat.

Pan Morailles nie odpowiedział nic. Wziął koszyk i szybko oddalił się, uśmiechając się złośliwie.

XII.

SZCZĘŚCIE I NIESZCZĘŚCIE.

— Popatrz Auroro! zawołała radośnie Joanna, która, siedząc przy łóżku pani Morailles, przeglądała ranną pocztę.

— Co takiego? zapytała osłabionym głosem markiza.

— Zobaczysz wkrótce osobę, którą bardzo kochałaś.

Lekki rumieniec zaróżowił bladą jej twarz.

— W tej samotności, w jakiej żyję... nie przypominam sobie nikogo, ktoby...

— Poszukaj lepiej w pamięci. Już Wierę widziałyśmy, a teraz ktoś drugi wyłania się z przeszłości...

— Nie pamiętam nikogo i męczy mnie to zgadywanie... — rzekła Aurora, opuszczając na poduszkę znużoną głowę.

— Ktoś, o kim ci już mówiłam, z kim jechaliśmy z Wenecyi..,

Pani Morailles zbladła, potem zarumieniła się znowu:

— Pani Seymour!

Na myśl, że ujrzy dawną powiernicę swej pierwszej i jedynej miłości, doznała dziwnego, bolesnego wzruszenia.

— Ciesz się — rzekła Joanna — wierna przyjaciółka, cenna sojuszniczka jest wielkim skarbem w takiej chwili.

— Co ona może uczynić dla mnie — westchnęła markiza... Ale co pisze?

Chce cię widzieć. Proponuje spotkanie w lesie przy wąwozie w Franchart.

— Dlaczego nie chce tutaj przybyć?

— Widocznie ma jakieś powody. W każdym razie będziecie tam swobodniejsi. Pogoda jest ładna. Dobrze będzie, gdy się przejedziesz.

— Czuję się bardzo zmęczona... Czy nie można do niej zatelefonować?

— Już jest za późno. Teraz wyjeżdża z Paryża samochodem. Wstań i ubieraj się, a zobaczysz, jak dobrem dla ciebie będzie spotkanie z starą przyjaciółką. Lecz co zrobimy z Jackiem. Nie możemy go wziąć ze sobą?

Wstyd przejął markizę: jeżeli zdradzi się przed panią Seymuor, lub jeżeli ona sama odgadnie?.... A przytem obecność dziecka będzie je żenowała.

— Pozostanie z Maurycym — rzekła jeszcze Joanna. Cóż może mu się stać? Zresztą Ludwika będzie czuwała. — Dodała obojętnym tonem, by nie dopuścić myśli, że się obawia.



— A to pan markiz. Przestraszyłem się. Myślałem, że to leśniczy...

— A czy pan Morailles nie jedzie dzisiaj do Paryża?

— Istotnie, tak mówił. A wiesz co? Każę zaprządz do powoziku angielskiego i sama cię powiozę.

Odgadując w oczach swej przyjaciółki pewną obawę, dodała:

— Chyba masz zaufanie do mnie? Mam rękę pewną, a przytem Pamela jest zupełnie spokojna.

— Weźmiesz przynajmniej służącego ze sobą?

— Nie, będzie nam przeszkadzał. Stary leśnik Landry będzie nam towarzyszył konno, jako groom. Jest mi oddany zupełnie, jak i jego rodzina.

— A jego syn, pamiętasz, coś go protegowała wówczas prefektowi policyi?...

— Jan? Robi karyerę. Już został trzy razy odznaczony; jest teraz brygadyerem.

— Dzielni ludzie, ci Landry.

W dwie godziny potem obie panie wyjechały w towarzystwie tylko starego leśnika, który jechał za nimi konno w pewnej odległości i Myrry, nie chcącej opuścić swej pani.

Z okna pierwszego piętra przyglądali się odjeżdżającym Jacek i Maurycy.

Pan Le Chars nudził się wściekle. Przyjechać do Roche-Forte, by pozostać bez ruchu, bezsilny i uwięziony, tego już za dużo! Siadł na szezlongu znudzony, z książką w ręku, która jednak po kilku minutach zsunęła mu się na ziemię. Zaczął drzemać. Zapukano lekko do drzwi.

— To pan Andrzej?

— Tak, to ja; szukam Jacka. Czy pozwoli nam pan zagrać w tennisa?

Jacek, dla którego Andrzej o sześć lat starszy od niego był wyrocznią, oczami wyraził ojcu, jak bardzo prosi o to pozwolenie.

— Bądźcie tylko uważni. Panu, jako starszemu, powierzam go.

Chłopcy wybiegli. Maurycy, dla którego wszystko stawało się ciężkiem, wszystko denerwowało, podszedł zniechęcony do okna, by popatrzeć, jak obaj bracia, choć nie rodzeni, bawią się. Uderzyło go pewne w nich podobieństwo, jakieś wspólne cechy rodzinne. Wiele jednakowych rysów twarzy, postaci całej, a nawet te same ruchy zdradzały ich pochodzenie od jednej matki. Jak pan Morailles mógł nie powziąć podejrzeń? I Maurycy może poraz pierwszy poddał się obawom, jakie męczyły jego żonę. Gościnność w Roche-Forte wydała mu się podejrzaną, pełną jakichś podstępów! Źle zrobili, przyjeżdżając tutaj. Myśl jego zwróciła się potem do spraw osobistych, nie mniej przykrych. Dostał list od rejenta w sprawie sprzedaży jednej z posiadłości. Przytem spadek papierów procentowych pogorszył jeszcze jego stan finansowy. Oby mógł przez jakie spekulacye giełdowe poprawić swe interesy.

Przypomniała mu się i ranna rozmowa z panem Morailles, który z wielką serdecznością przyszedł powiedzieć mu dzień dobry.

— Niezadowolony jestem, — mówił markiz, że wszystkie swe kapitały mam już zajęte. Nadarza się teraz wspaniała okazya do ulokowania pieniędzy na trzydzieści pięć, a nawet czterdzieści pięć procent. Wspaniały interes! Niech chociaż skorzystają moi przyjaciele...

Mówił to tonem swobodnym i obojętnym. Maurycy przez dyskrecyę nie pytał go o szczegóły. Pan Morailles ciągnął dalej:

— Dlaczego pan nie chce z tego skorzystać? Okoliczności są wyjątkowe. Mój przyjaciel, książę d'Eylau będzie zachwycony tem, że znajdzie fundusze na odrestaurowanie swego starego zamku. Ale pan jak i pani Le Chars są zbyt ostrożni, tymczasem kto nie ryzykuje, ten nic nie ma.

— O cóż więc chodzi? — zapytał Maurycy.

Przedsięwzięcie o wielkiej przyszłości. Towarzystwo, które się formuje pod nazwą Motory Salentin, ma fabrykować nowy motor ulepszony do samochodów i aerostatków. Obecnie akcye dają już dwadzieścia pięć procent lecz ciągle idą w górę. Jadę teraz do swego ajenta giełdowego i postaram się umieścić jakie trzysta tysięcy.

— Ale czy pan jest pewny?

— Jak najpewniejszy, ale widzę, że pan nie ma zaufania... Muszę już jechać,

— Nie... to nic, to — protestował Maurycy.

— Ale tak, widzę to... Jest to zupełnie naturalne. Zresztą nie wiem, czy się tych akcyi zostanie coś jeszcze. Do widzenia!

Markiz wyszedł. Dlaczego ja istotnie tak się boję? myślał Maurycy. Przecież to nie jest gra, a przytem nic nie powiem Joannie, by się nie obawiała...

Zajęty temi myślami nie zwracał już uwagi na zabawę chłopców, zastanawiając się tylko, czy może ryzykować jeszcze swoje nadszarpnięte fundusze. Przypominał sobie całą ranną rozmowę z markizem, gdy naraz weszła Ludwika:

— Proszę pana do telefonu.

W chwilę potem już wołał:

— Hallo!

— Hallo! To pan? Le Chars?

Poznał głos markiza.

— Tak, to ja.

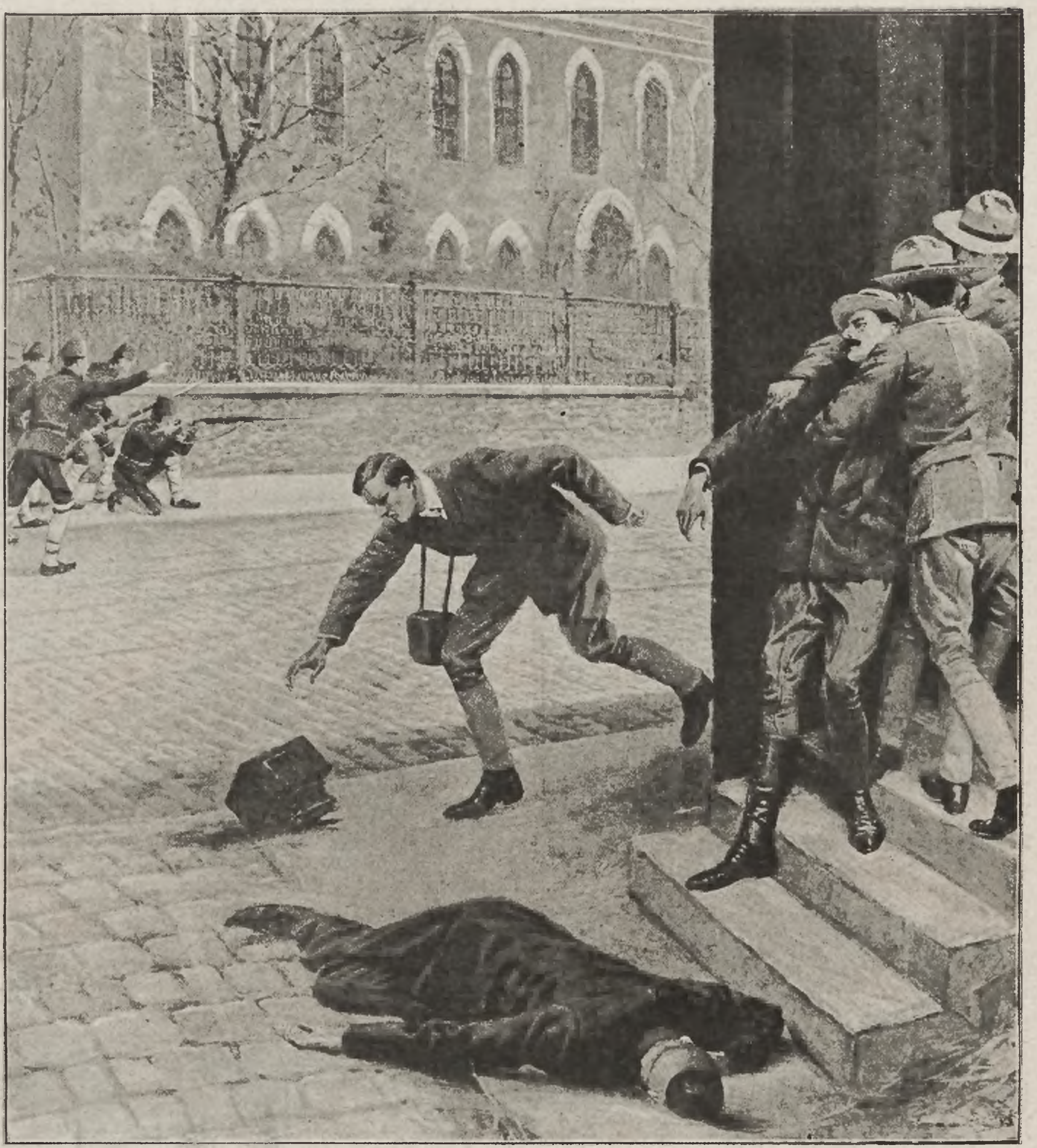
(Ciąg dalszy nastąpi).

Echa walk nad Bosforem.

Jeszcze nie przebrzmiały echa zaciętych walk, jakie stoczyły wojska III-go macedońskiego korpusu z obałamuconymi zwolennikami reakcyi, jeszcze sąd wojenny w Konstantynopolu wydaje masowe wyroki śmierci, a już mnożą się oznaki, że przeciw rządzącym samowładnie Młodoturkom gotuje się wybuch nowej kontrrewolucyi na wielu punktach rozległego osmańskiego państwa.



Jubileusz artysty: Artur Zawadzki.



Eeha walk nad Bosforem: Ranni w czasie walk ulicznych Booth i Moore, korespondenci pism amerykańskich.

Tymczasem jednak Szewket-pasza, *generalissimus* armii młodotureckiej, rządzi dalej nad Bosforem, nie oglądając się na sułtana Mahometa V-go, a w pamięci ludności tamtejszej tkwią jeszcze żywo wspomnienia tych tragicznych wypadków, jakich była świadkiem w końcu ubiegłego miesiąca. Niezmiernie ciekawe ryciny, które podajemy w niniejszym numerze illustrują właśnie dwa charakterystyczne momenty walki, stoczonej na ulicach Konstantynopola.

Na pierwszej z nich widzimy, jak korespondent dzienników amerykańskich, Fryderyk Moore, schyla się po aparat fotograficzny, który wypadł z rąk jego rannego towarzysza Both'a, korespondenta illustracyi angielskiej *Daily Graphic*. Zaiste trzeba uchylić czoła przed tymi przedstawicielami dziennikarstwa, który wypełniali swój obowiązek z takiem poświęceniem. Moore bowiem także został ciężko ranny, towarzyszący im zaś służący, zginął na miejscu. Tragiczna ta scena rozegrała się w czasie ostrzeliwania koszar Taksim i Toszkiszka. — Na drugiej zaś rycinie oglądamy rannych, przewożonych w wozach tramwaju konnego — na elektryczny nie chciał pozwolić Abdul Hamid — do szpitala francuskiego w dzielnicy Peru, który pozo-



Eeha walk nad Bosforem: Przewożenie tramwajem rannych żołnierzy młodotureckich.



Mieszkania dla kolejarzy w Krakowie: Inżynier Stanisław Ulejski, architekt.

staje pod zarządem Sióstr Miłosierdzia, a w którym wiele lat była czynna siostra Jadwiga Zaleska, obecna wizytatorka tego zakonu na Galicyę.

Jubileusz artysty.

Jeden z niewielu naszych humorystów, artysta dramatyczny p. Artur Zawadzki, obchodził 17 b. m. ćwierćwiekowy jubileusz swej pracy scenicznej specyalnem przedstawieniem w „Teatrze letnim“ w Warszawie. Jestto artysta nietylko obdarzony wyjątkowemi zdolnościami odtwarzania monologów, ale człowiek, który położył duże zasługi, zwiedzając prawie wszystkie większe miasta rosyjskie i wiele zagranicznych i przypominając ze sceny zamieszkałym tam Polakom mowę ojczystą.

Wędrówki swe po Rosyi odbywa Zawadzki już od roku 1889-go. Rozpoczął swoją karyerę artystyczną w 1880 roku na scenie krakowskiej, poprzednio skończywszy szkołę dramatyczną Derynga w Warszawie. Parę lat tylko jednak przebywał na rozmaitych scenach galicyjskich, poczem porzucił trupy ensamblowe, a poświęcił się specyalnie odtwarzaniu monologów i różnych typów charakterystycznych.

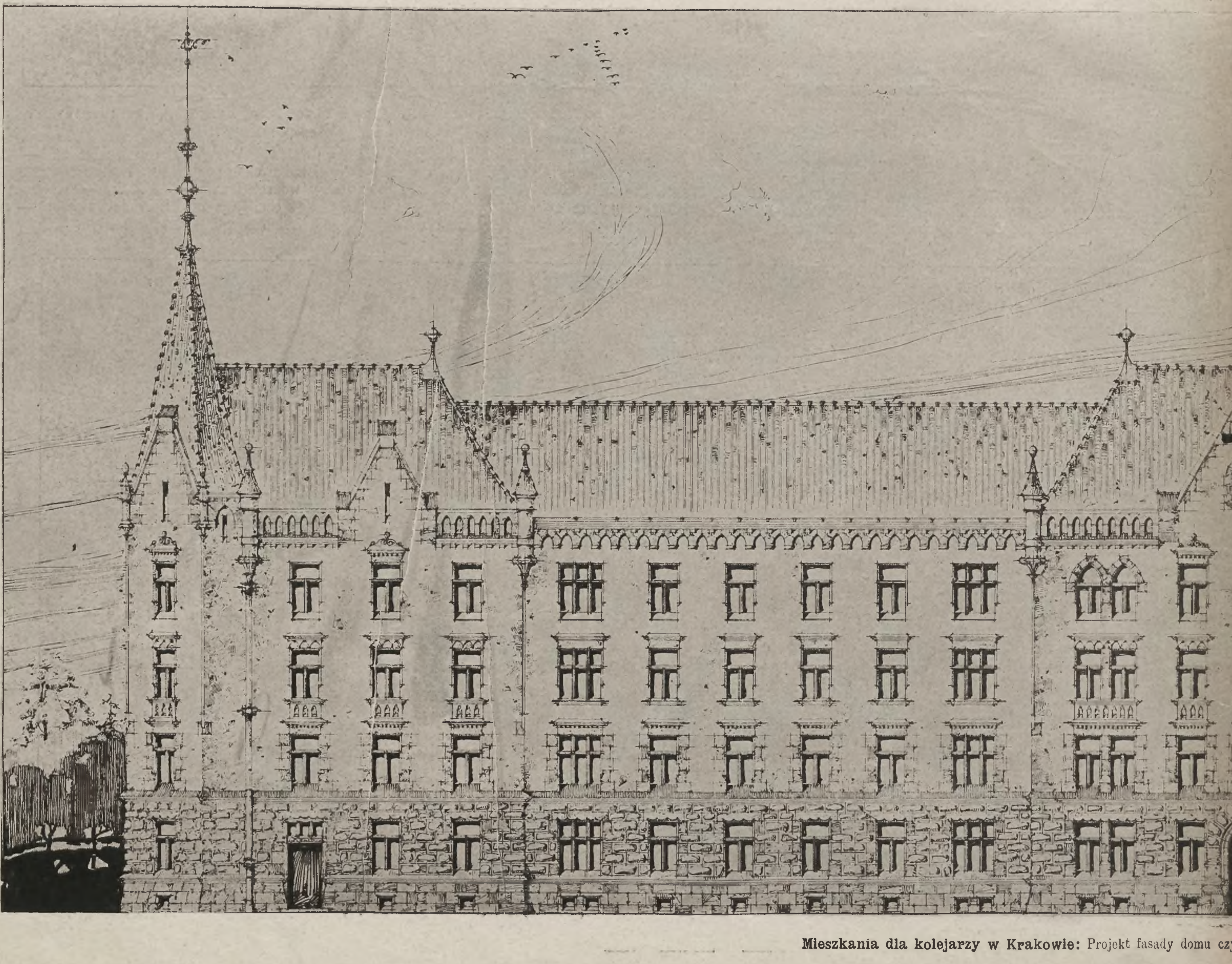
Jego repertuar jest ogromnie bogaty i okraszony prawdziwie staropolskim humorem, z którym coraz rzadziej spotykamy się na scenie. Nic też dziwnego, że wszędzie, czy to w Wilnie, Moskwie, Kijowie, Warszawie, Lwowie lub Krakowie, witany bywa Artur Zawadzki bardzo sympatycznie. Publiczność też warszawska nie szczędziła mu dowodów swej sympatyi podczas przedstawienia jubileuszowego, w czasie którego jubilat okazał w całej pełni swój talent monologisty i transformatora.

Mieszkania dla kolejarzy w Krakowie.

Notoryczna, a niesłychana wprost drożyzna mieszkań w Krakowie, wywołana nietylko stosunkami podatkowymi i chciwością kamieniczników, ale przedewszystkiem może brakiem mieszkań, oraz fakt, że prawie trzecia część funkcyonaryuszy kolei państwowych, stacyonowanych w Krakowie, mieszka daleko poza obrębem miasta, skłoniła dyrektora ko-



Zgon urzędnika-Polaka w Wiedniu: Ś. p. Feldmann.



Mieszkania dla kolejarzy w Krakowie: Projekt fasady domu czy

lei, radcę dworu p. Horoszkiewicza, do postawienia jeszcze w 1905 r. wniosku w ministeryum kolejowem, aby wybudować w Krakowie z funduszu prowizyjnego dla podurzędników i sług kolei państwowych, kilka domów czynszowych dla kolejarzy.

Dzięki tej zdrowej i prawdziwie humanitarnej inicyatywie radcy dworu Horoszkiewicza, dzięki jego usilnym, kilkuletnim staraniom, rozpocznie się w miesiącu lipcu tego roku budowa dwóch olbrzymich trzypiętrowych domów na gruntach nabytych za pieniądze ze wspomnianego funduszu od zarządu kolejowego przy ulicy Blich. Jeden z domów przeznaczony będzie na mieszkania dla 28 rodzin urzędniczych, drugi zaś pomieści 78 rodzin podurzędników i sług.

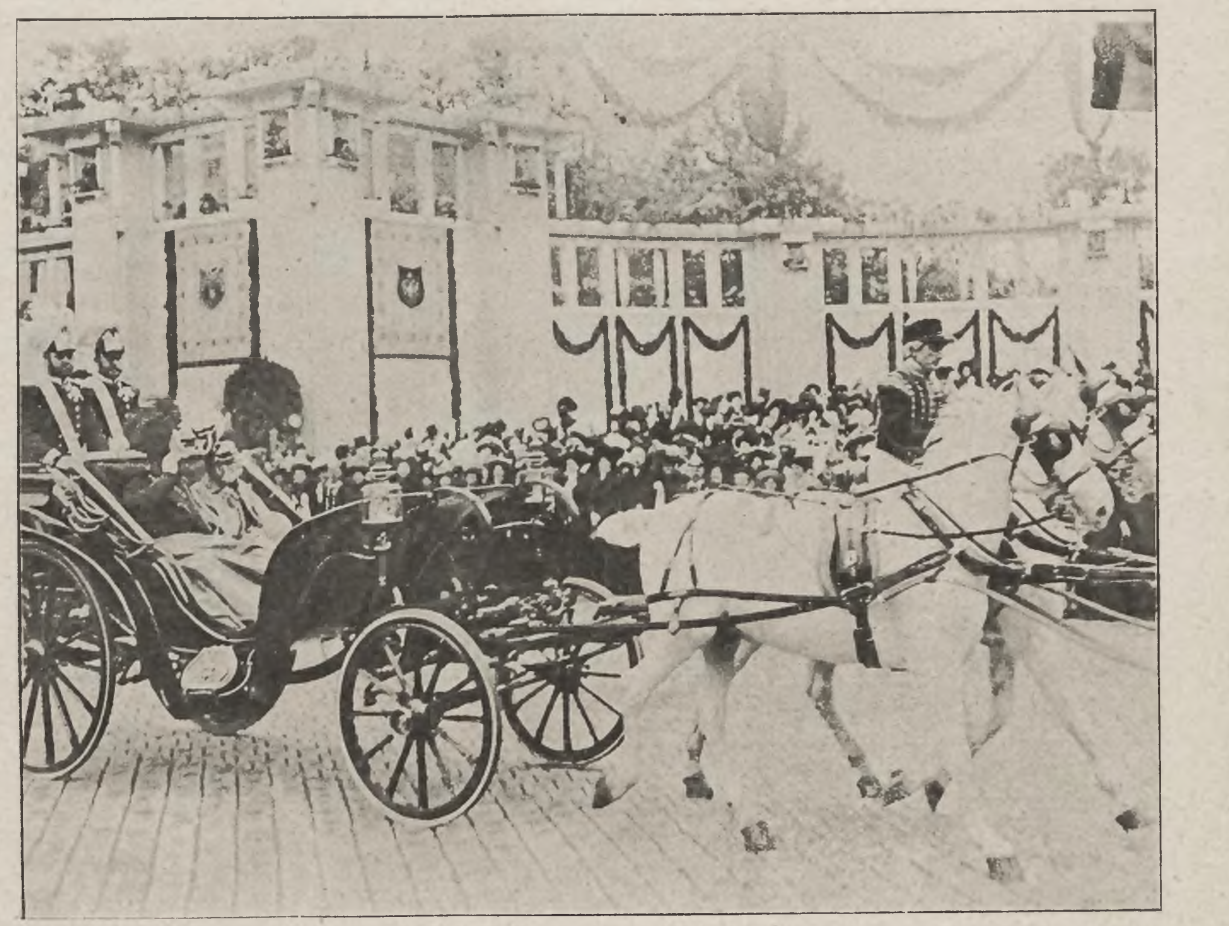
Projekty na budowę tych domów czynszowych, urządzonych według najnowszych wymagań, wykonał zaszczytnie znany w całym kraju młody architekt, dyplomowany inżynier Stanisław Ulejski ze Lwowa, który stosując się do charakteru naszego miasta, wykonał projekty fasad obydwóch domów w stylu gotycko-nadwiślańskim.

Budowa tych domów stanowi zapowiedź powstania dalszej seryi domów czynszowych dla personalu kolejowego, które budowane również jak i obecne zupełnie niezależnie od towarzystwa budowy tanich domów dla urzędników, staną w niedalekiej przyszłości między ulicą Grzegórzecką, a cmentarzem izraelickim. Referentem sprawy budowy tych domów czynszowych jest od pierwszego jej zaczątku sekretarz kolejowy dr. Wacław Przybylski.

Ryciny nasze przedstawiają projekt fasady domu, przeznaczonego dla rodzin urzędników, który stanie bliżej ulicy Kopernika, projekt fasady domu dla podurzędników i służby, który stanie bliżej ulicy Grzegórzeckiej, oraz podobiznę autora obu projektów, inżyniera Stanisława Ulejskiego ze Lwowa.

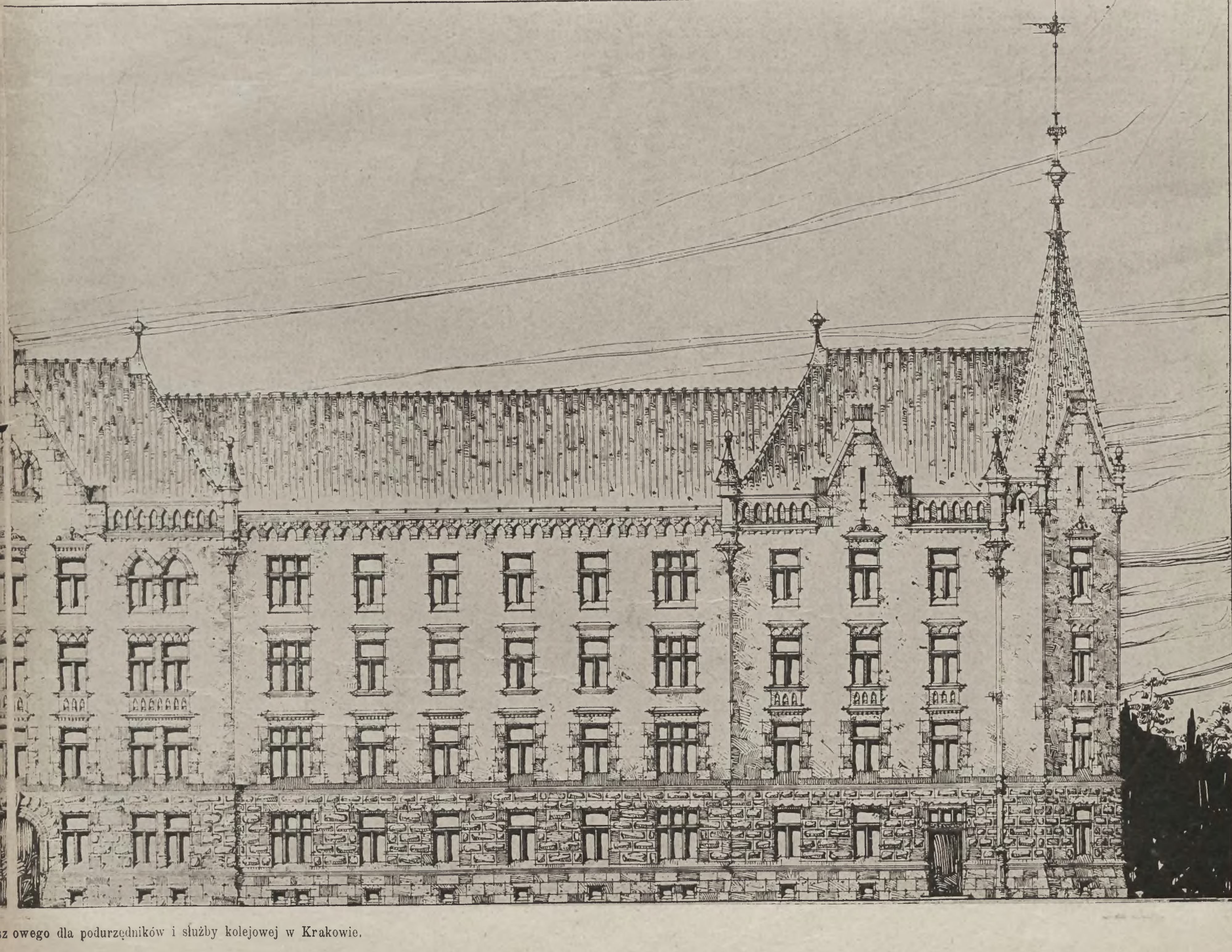
Zgon urzędnika-Polaka w Wiedniu.

Przed kilku dniami zmarł w jednem z sanatoryów pod Wiedniem, Franciszek Ksawery Feldmann, starszy komisarz dyrekcyi policyi w Wiedniu i rezerwowy kapitan 1 pułku strzelców krajowych. Była to osobistość w Wiedniu znana i powszechnie ceniona. Niewielu jednak wiedziało, że ś. p. Feldmann był Polakiem i to nietylko z pochodzenia, ale całem sercem i duszą oddanym swemu krajowi rodzinnemu.



Niemiecka para cesarska w Wiedniu: Cesarz Wilhelm i cesarz Franciszek Józef w drodze do Burgu.

Syn weterana z czasów Radetzky'ego, wychowywał się w Krakowie, a po ukończeniu studyów prawniczych wstąpił do dyrekcyi policyi w Wiedniu.



...nsz owego dla podurzędników i służby kolejowej w Krakowie.

Odbywszy w międzyczasie służbę wojskową w charakterze jednorocznego ochotnika, został mianowany rezerwowym podporucznikiem. Podczas ćwiczeń, jakie odbywał, wykazał atoli takie zdolności strategiczne, a przytem zamiłowanie do służby wojskowej, że wyjątkowo awansował na stanowisko kapitana w rezerwie. Jak zamiłowany był ś. p. Feldmann w służbie wojskowej, dowodzi fakt, że poza obowiązkowymi, odbył 8 ćwiczeń dobrowolnie, przeznaczając na ten cel urlopy urzędowe. Ostatnie ćwiczenia odbył w pułku cesarskich strzelców w Tyrolu.

Męczące i forsowne te ćwiczenia w górskiej okolicy podkopały jednak zdrowie ś. p. Feldmanna. Mimo troskliwej opieki lekarskiej uległ jej wreszcie po kilku miesiącach, ku wielkiemu żalowi licznego grona swych przyjaciół i znajomych.

S. p. Franciszek Feldmann, którego portret dziś zamieszczamy, był bratem p. Ferdynanda Feldmanna, znakomitego artysty teatru miejskiego we Lwowie.

Pogrzeb ś. p. Franciszka Feldmanna, był dowodem, jak wielką sympatyą cieszył się zmarły, gdyż ostatnią posługę oddały mu tłumy publiczności.

Niemiecka para cesarska w Wiedniu.

Nie da się wprawdzie zaprzeczyć, że aczkolwiek dość niechętnie, ale, koniec końców, poparły Niemcy swego sojusznika Austro-Węgry w czasie, gdy znalazły się one ubiegłej zimy w dość trudnej sytuacyi. Faktem jest jednak, że wybrnięcie z tej sytuacyi może monarchia Habsburgów zawdzięczać przedewszystkiem energicznej polityce bar. Aehrenthala, który mógł ją prowadzić, bo czuł za sobą dobrze przygotowaną, silną i bitną armię, nietylko austryacką ale i niemiecką.

Niemcy austryaccy przecież przesadzają się w zachwytach wdzięczności z powodu „niemieckiej wierności“, jakiej dowody miał ostatnimi czasy złożyć cesarz Wilhelm wobec Austro-Węgier. Powstała nawet myśl wzniesienia w Wiedniu pomnika, mającego uwiecznić wobec całego świata *die deutsche Treue* sojusznika, który — mówiąc nawiasem — spełnił tylko najprostszy obowiązek uczciwości, do jakiej obowiązany jest każdy człowiek, nawet i panujący, zawarłszy pewną umowę.

Przyjazd niemieckiej pary cesarskiej do Wiednia w drodze powrotnej z Korfu, dał dobrą sposobność Niemcom austryackim do rozpływania się znów w uczuciach wdzięczności dla władcy Niemiec, a jemu samemu do wygłoszenia na obiedzie dworskim długiego, szumnego toastu, w którym sławił trochę trójprzymierze, a znacznie więcej samego siebie.

Rycina nasza przedstawia powóz dworski z zaprzęgiem *à la Daumont*, w którym siedzą: cesarz Wilhelm w mundurze feldmarszałka austryackiego i cesarz Franciszek Józef w mundurze feldmarszałka pruskiego, podczas uroczystego wjazdu do Wiednia w dniu 14 b. m.

Cesarz Wilhelm „dystyngowanym“ ruchem ręki dziękuje zebranym w ulicach Wiedeńczykom za entuzyastyczne przyjęcie, na jakie ani nie zasłużył, ani się go nie spodziewał. I zdaje się, że zarówno entuzyazm Wiedeńczyków, jak „wzruszenie“ Wilhelma nie były szczere.



Goście japońscy w Austryi: Oficerowie japońscy w otoczeniu komendanta i nauczycieli wojskowej niższej szkoły realnej.

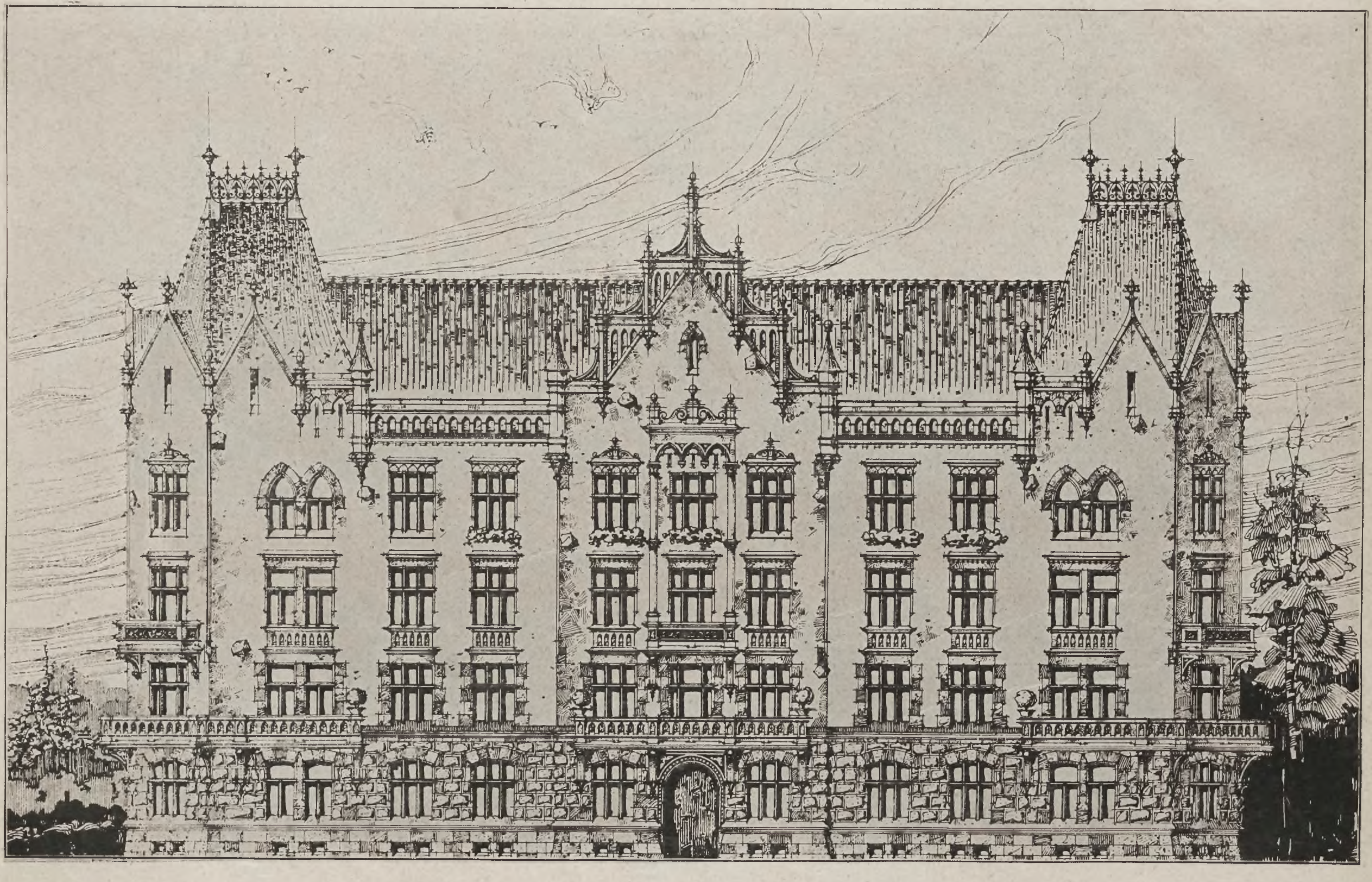
Pierwszy selamlik nowego sułtana

Rządy nowego sułtana, Mahometa V., znaczą się krwawymi śladami; coraz nowe i coraz liczniejsze egzekucye, oto droga, jaką Mahomet V. chce zmusić wszystkich opornych do uznania swej władzy. Mimo to spokój dotychczas nie zapanował nad Bosforem. Zwłaszcza zaś w dalszych prowincyach tureckich wre ruch rewolucyjny, nie rokujący bynajmniej rychłego powrotu do normalnych stosunków.

Sam sułtan przesiaduje przeważnie w swej rezydencyi, w wspaniałym pałacu Dolma-Bagdże, położonym tuż nad morzem. Opuszcza go rzadko, w ważnych tylko wypadkach. Przedewszystkiem celem uczestniczenia w selamliku, uroczystości religijnej, odbywającej się każdego piątku w wielkim meczecie konstantynopolitańskim.

Wyjazd sułtana na selamlik jest połączony z wielką uroczystością, w której udział bierze cały dwór i znaczna część załogi stolicy. Wśród szpalerów wojska, udaje się sułtan w powozie do meczetu i uczestniczy w nabożeństwie, po którem tą samą drogą wraca do swego pałacu.

Nasza rycina przedstawia właśnie sułtana Mahometa V. w powozie, w drodze na selamlik. Zamieszczamy też zdjęcie fotograficzne, przedstawiające rezydencyę nowego sułtana, pałac Dolma-Bagdże.



Mieszkania dla kolejarzy w Krakowie: Projekt fasady domu czynszowego dla urzędników kolejowych w Krakowie.

Dr. A. WYLM.

KORALOWY RÓŻANIEC

8 **Romans psychiczny.** Ciąg dalszy.

Na nieszczęście jednak, z nim nie było, jak z innemi. Zaledwie spojrzała na jego rękę, gdy krzyknęła zdziwiona, zawołała na swe towarzyszki, które także zaczęły się bardzo dziwić. Cyganka mówiła mu coś przez kilka minut, wywołując na twarzy jego silne rumieńce i zażenowanie. Odpowiedział jej, lecz wróżka pokiwała przecząco głową i utkwiła wzrok na Łucyi. Stara nalegała na coś, na co pan Delille nie zgadzał się, wreszcie podszedł do żony i prosił, by i ona pokazała rękę.

Łucya z początku odmówiła, lecz w końcu ustąpiła błagalnym prośbom wróżbiarki, która na widok podanej ręki znowu krzyknęła zdziwiona i z uwielbieniem zaczęła patrzeć na Łucyę. Zbliżyłem się do nich i usłyszałem, jak cyganka mówiła, iż Łucyę kocha Duch, że ten Duch ma władzę oddzielać duszę jej od ciała, że przychodzi każdej nocy i posiada talizman. Bezwiednie podszedłem do samej Łucyi; stara wróżbiarka podniosła na mnie wzrok, rzuciła się z przerażeniem i powstając, wyciągnęła przed siebie obie ręce, zaciśnięte w kułaki, ale tak, iż wskazujący i mały palec trzymała prosto. Z rękami w tej pozycyi podeszła do mnie i zawołała:

— Jezus! Marya! Brońcie nas. On tu jest! Widzę go!

Łucya zemdlała, ja zaś w mgnieniu oka znalazłem się na drodze; panią Delille przeniesiono do powozu.

Zamieszanie, wywołane tym wypadkiem, wkrótce uspokoiło się, mąż Łucyi siadł koło niej i zaraz ruszyli z powrotem do domu. Ja ich wyprzedziłem, gdyż mogłem jawić się w jej pokoju, kiedy tylko chciałem. Postać mojej ukochanej już tam była, drżąc cała.

— Łucyo droga — rzekłem, biorąc ją w ramiona — co ci się stało?

Łucya opowiedziała mi, co jej mówiła cyganka i dodała:

— Powiedz mi, czy ty dzięki czarom możesz do mnie przychodzić. Nie oszukuj mej ufności, nie kłam.

— Przysięgam ci, Łucyo, że nie znam się na czarach. Nas złączył tylko poświęcany różaniec i sprawiły to czary, ale Matki Boskiej.

— Chodź uklęknąć ze mną pod krucyfiksem i powtarzaj me modlitwy.

Pociągnęła mnie do klęcznika i tam na kolanach, z rękami złożonemi, powtórzyłem za nią Ojcze nasz i Zdrowaś Marya. To przekonało Łucyę, iż w czynach naszych niema czarów szatańskich.

— Przebacz mi, że wątpiłam o tobie, lecz ta straszna kobieta... Czy byłeś tam?...

— Tak, i słyszałem, co ci mówiła.

— Teraz po modlitwie mam jeszcze większą ufność w Bogu. Czuję, że tobie jestem przeznaczona. Oby ciało moje mogło powrócić na ziemię, bym należała tylko do ciebie.

Usłyszeliśmy, że powóz zatrzymał się przed domem; wkrótce na schodach i korytarzu rozległy się liczne kroki; niesiono ciało omdlałej Łucyi. Położono ją na łóżku i damy, które były na tem przedstawieniu, zakrzątnęły się koło niej. Po przyjściu doktora, wszyscy się cofnęli, pozostał tylko pan Delille.

— Ciągle to samo — rzekł lekarz. — Tylko spokój należy zachować; jeżeli do jutra pani nie obudzi się, wtedy dopiero trzeba będzie coś zaradzić. Narazie nic nie można przedsiębrać.

Po wyjściu doktora pozostał tylko pan Delille. Nie zwracaliśmy uwagi na niego, byliśmy sami, zajęci tylko swemi myślami.

W kilka chwil potem zapukano do drzwi i weszła stara cyganka; zbliżyła się do pana Delille i coś mu wręczyła; nie widziałem, co to było; przytem szeptała mu coś na ucho. Pan Delille potrząsał tylko głową i dał jej jakiś banknot. To wszystko zadziwiło nas bardzo i zaniepokoiło, naraz cyganka trzymając w ręku nóż podbiegła ku nam; instynktownie zasłoniłem sobą Łucyę; co potem się stało, nie pamiętam.

Opowiadanie pana Leyre'a wywołało we mnie taką dziwną komplikacyę myśli, iż nie mogłem z nich wybrnąć. Wyrzucałem sobie przytem, iż pozwoliłem mu tak długo mówić; ciekawość moja zwyciężyła poczucie obowiązków lekarza. Chcąc powetować swą winę, zaleciłem choremu jak największy spokój.

Po powrocie do siebie zastałem list ks. Jaugi; państwo Delille byli spodziewani za dwa dni. Jak tylko będzie miał jakie wiadomości przybędzie do mnie.

Ostatniego marca zjawiła się u mnie pani Franchard, która wyjechała na spotkanie córki. Nie mogła mi dać żadnych szczegółów, gdyż sama nic nie wiedziała. Prosiła mnie tylko, bym był gotowy przybyć do zamku Balizac. Dowiedziałem się także od niej, że na barona wywarło silne wrażenie tak wczesne spełnienie się mych przepowiedni.

Istotnie nazajutrz zostałem wezwany telegraficznie do zamku. Pan Delille oczekiwał na mnie z samochodem na dworcu.

Bardzo mnie to zdziwiło; mąż panny Franchard musiał bowiem wiedzieć o moich usiłowaniach zerwania lub tylko choćby odłożenia ślubu. Czyżby ta opozycya zjednała mi jego zaufanie?

Rozmowa, jaką mieliśmy potwierdziła mój domysł. Pan Delille był to człowiek dobrze wychowany, ograniczonej inteligencyi, lecz z wielkiemi znajomościami form światowych. Spostrzegałem w nim dobroć i pewną szczerość, zmieszaną jednak z naiwną skrytością. Uważałem to za skutki otrzymanego wychowania.

Zaczął rozmowę konwenansową. Mówił o podróży, o niepokoju z powodu zdrowia żony, o przykrości, doznanej z tego prędkiego powrotu. Zapytałem, czy radził się lekarzy hiszpańskich, odpowiedział mi wymijająco. Był doktór, ale nie leczył żony, nie wzbudzał zaufania; chciał zasięgnąć rady specyalisty paryskiego, lecz przedtem zwrócił się do mnie, ponieważ ze skutkiem leczyłem jego żonę. Wśród najrozmaitszych zastrzeżeń wyznał, że pisał po doktora Quinsac z Paryża, ale ten odpowiedział, by naprzód mej rady zasięgnąć, a przyjedzie sam wtedy, gdy ja to uznam za potrzebne. Nie zdziwiło mnie to, gdyż Quinsac jest dawnym moim dobrym kolegą.

— Proszę mi powiedzieć — odezwałem się — o objawach choroby, jakie pan znalazł u żony. To ułatwi me zadanie.

Wtedy pan Delille powtórzył mi to wszystko, czego dowiedziałem się już przez pana Leyre'a. Nie potrzebuję dodawać, że przemilczał przystępy swego gniewu i scenę z wróżbiarką, szczegółowo jednak przedstawił mi stan i zachowanie się żony, gdy zbliżał się do niej jako małżonek.

— I wówczas pan zawezwał mego hiszpańskiego kolegi? — zapytałem z umyślną naiwnością.

— Tak — odrzekł zażenowany.

— Co on powiedział?

— Nazwał to objawami histerycznemi.

— Czy zapisał co?

— Nic.

— Dobry lekarz. Lecz proszę mi powiedzieć, musiał chyba nastąpić silniejszy atak, kiedy tak nagle przerwał pan podróż? Pięć czy sześć dni pozostawali państwo w Grenadzie, a pani Delille była chora już od pierwszego wieczoru.

— Przeciąganie się tego stanu omdlenia, skłoniło mnie do powrotu.

Porzuciłem ten temat i zapytałem o samą Grenadę, czy widział katedrę i inne zabytki mauretańskiej sztuki. Zainteresowałem się jego wrażeniami. Czy widział tańce andaluzyjskie i cygańskie? — Tak. — Czy dawał sobie wróżyć z ręki, jak to czynią wszyscy podróżni?

Pytanie to bardzo go zakłopotało; odpowiedział:

— Zastosowałem się do zwyczaju.

Po chwili myślenia zwrócił się do mnie:

— Pan nie uważa choroby mej żony za histeryę? Teść wspominał mi, iż pan nie jest tego zdania.

— Istotnie, lecz jeżeli przyczyny, które wywołują ataki, nie zostaną usunięte, wtedy może się okazać najcięższa histerya.

— A jakie mogą być przyczyny?

— Smutek wielki i długo trwający...

— Czy pan wie, że żona chciała odłożyć nasz ślub?

Tak.

— Czy nie sądzi pan, że ten ślub jest przyczyną choroby?

— Owszem, panie. Proszę mi wybaczyć szczerość, lecz jako lekarz i człowiek winienem panu powiedzieć całą prawdę.

Pan Delille westchnął.

— Niech pan wierzy mi, że jeżeli tylko moje interesa byłyby w grze, chętnie poświęciłbym swe uczucia wobec innego wyboru mej żony. Niestety jednak stanowisko naszych rodzin nakłada na nas obowiązki, którym oddawać musimy nietylko majątek i szczęście, lecz i życie. Po przyjeździe do zamku — dodał — porozmawiamy jeszcze o tem.

Do pana Franchard wprowadzony zostałem z wielką pompą. Przyjął mnie z namaszczeniem:

— Bardzo głęboko jestem zasmucony tem, co się stało. Może winienbym wspomnieć o mych obowiązkach ojca przed myślami o swych obowiązkach, jako katolika i Francuza; nie żałuję jednak, żem dał krajowi swemu przykład poświęcenia i abnegacyi.

Napróżno chciałem domyśleć się, jaką korzyść religia i Francya odniosły z narzucenia biednej Łucyi niekochanego człowieka; widocznie, jak mówił jej ojciec, poczucie i zrozumienie tych rzeczy dostępne jest tylko dla uprzewilejowanych. Skłoniłem się lekko, a baron mówił dalej:

— Nie mniejsze zrobiła na mnie wrażenie nasza ostatnia rozmowa i pańska przepowiednia. Jeżeli został popełniony jaki błąd, to me sumienie chrześcijańskie świadczy, iż stał się on bez złej woli. Zresztą nie należy odrabiać tego, co uczyniono na wieczność, lecz myśleć o poprawieniu zła i tutaj całą swą nadzieję pokładamy w panu. Błagamy, by pan użył wszystkich środków na przywrócenie zdrowia pani Delille. Nie cofniemy się przed żadną ofiarą i jeżeli pan uzna za odpowiednie odwołać się do wiedzy swych najsławniejszych kolegów,gotowi jesteśmy spełnić pańskie życzenie.

Chodziło im widocznie o wezwanie Quinsaca. Drogo to ich będzie kosztowało, jeżeli Quinsac będzie w złym humorze. Nie znosi, by go fatygowano niepotrzebnie.

— Bardzo dobrze byłoby zasięgnąć rady specyalisty — rzekłem. Kogo pan życzy poradzić się?

— Kogo pan zechce, — odpowiedział baron.

— Proszę wybrać samemu. Muszę jednak wyznać otwarcie, że choroba pańskiej córki nie jest wcale skomplikowana. Narazie jest niewyleczalna; wszystko trzeba pozostawić czasowi i nie spieszyć się z niczem, by nie narażać zdrowia a nawet i życia.

I dodałem z umyślną złośliwością:

— Skandal, panie baronie, jest już dość głośny. Nagłe przerwanie podróży poślubnej jest tematem rozmów w wielkim świecie. Pan nie uniknie już ciekawości, na jaką narażeni są wybitniejsi ludzie.

Pan Franchard zmarszczył z początku brwi, musiał jednak uznać, że oceniam doniosłość jego nazwiska; zakończył rozmowę, proponując wezwanie doktora Quinsaca, profesora Sorbony.

— Zaraz zatelegrafuję do niego, by jutro przybył, — rzekłem — poczem udałem się do pani Delille.

Jak ona zmizerniała i zbladła! Jej biedna dusza, stworzona do pieszczot i ciszy, była na odlocie z ciała, w którem za wiele znosiła męczarni. W jej wielkich ciemnych oczach malowała się niema rozpacz; nie miała już chęci do życia. Pan Delille towarzyszył mi; zauważyłem w jego zachowaniu się pewien przymus; zdawał się unikać wzroku swej żony. Wyobrażałem sobie, że i Łucya nie znosi jego obecności, nie zwracała na niego najmniejszej uwagi.

— Dzień dobry, panie doktorze, — rzekła — wyciągając do mnie swą wybladłą rękę; uważa mnie pan za bardzo chorą.

— Ależ nie, drogie dziecko! — odpowiedziałem czule. Zaraz panią wyleczymy.

Przy zbadaniu nie znalazłem żadnej wady organicznej. Łucya miała chorą duszę, nie ciało. Zapisałem jej środki pobudzające.

— Przyjdę jutro do pani z jednym z mych kolegów — rzekłem na odchodnem. Proszę nie tracić nadziei, że wszystko będzie dobrze.

— To konsilium! — zawołała smutnie. Ja jestem bardziej chorą, niż pan to mówi.

— Nie, drogie dziecko, mówię tylko prawdę. Do jutra!

Odjechałem zaraz, nie widząc się z baronem. Pan Delille odwiózł mnie.

— Jak pan znajdnje moją żonę? — zapytał.

— Bardzo chora.

— Lecz co jej jest?

— Tak dobrze pan to wie, jak i ja — odrzekłem z irytacyą.

Pan Delille okazał się dotkniętym tem i aż do samego końca nie zamieniliśmy ani jednego słowa. Żegnając się, rzekłem mu:

— Do widzenia; serdecznie mi pana żal, gdyż pan jest zacnym człowiekiem, a położenie pana bardzo przykre.

Ścisnął mnie silnie za rękę, lecz nic nie odpowiedział. Po powrocie do siebie i odwiedzeniu ważniejszych chorych, udałem się do pana Leyre'a. Stan jego poprawiał się.

Nazajutrz, drugiego kwietnia, udałem się rano na dworzec po Quinsaca, który przybywał kuryerem z Paryża; poprzednio wynająłem samochód, który uniósł nas szybko do zamku Balizac. W czasie jazdy przedstawiłem mu całą sprawę.

— Musiałeś być bardzo przejmować tym wypadkiem — rzekł mi Quinsac — uważam, że ci metafizyczni kochankowie zdobyli sobie całą twą sympatyę. Zresztą nie mogło być inaczej.

— Ma się rozumieć — odpowiedziałem ze śmiechem, i chciałbym ich pożenić.

— Przedtem jednak trzeba ją rozżenić. Nie wiem, czy uda się tam przeprowadzić rozwód.

— Sprobuję!

— Będzie to trudne. Z twojego jednak opowiadania widzę, że wzywają mnie naprożno. Mógłbyś mi, mój drogi, oszczędzić tej podróży.

— Tak, ale miałem ręce związane, a przytem potrzebowałem twej powagi. Dyagnoza jest łatwa, a leczenie jeszcze łatwiejsze, lecz dobrze będzie, gdy oni usłyszą to z twoich ust. Zrobisz w ten sposób przysługę moim protegowanym.

— Doskonale! Muszę jednak widzieć chorą.

— Ale powiedz mi, mój drogi, odkąd stałeś się przyjacielem jezuitów?

— Ja?

— Tak, ty! Pan Delille już telegrafował do ciebie. Nie uczynił tego sam od siebie, lecz ktoś mu podsunął twe nazwisko. Podejrzewam tutaj kogoś.

— Kogo?

— Ojca Furstera.

— Słyszałem o nim.

— Więc bywasz u jezuitów?

— Bywałem. Leczyłem niedawno i z wielkiem powodzeniem jednego z ich generałów.

— I mówiono ci o ojcu Fursterze?

— Wspomniano jako o bardzo inteligentnym, czynnym i energicznym. Jest on głową Towarzystwa na południu.

— Wiem o tem. Zaczął wielką grę.

— Nie moja to sprawa, ale oni wywołają ładne historye!

— Bardzo prawdopodobne. W każdym razie jestem na wojennej z nim stopie.

— Opowiedz mi to.

— Nie teraz. Napiszę ci, gdy wszystko będzie skończone.

— Lubię takie historye.

Tak wyrażał się Quinsac. Przybyliśmy dość wcześnie do zamku. Uprzedzeni depeszą oczekiwali nas pan Franchard z zięciem. Baron przy powitaniu dał upust swej zwykłej wymowie. Cieszył się, że w swem „skromnem mieszkaniu“ gości „jednego z książąt wiedzy“, tej „bogini, której potęga równa się potędze arystokracyi“. Quinsac zniecierpliwiony tem, przerwał przemowę barona i zażądał, by go zaprowadzono do chorej. Baron zmieszany ostrością „księcia wiedzy“ poprosił z godnością zięcia, by nas zaprowadził do pani Delille.

Sławny kolega zbadał chorą jak najdokładniej, jej serce, płuca, wątrobę, śledzionę, żołądek, system nerwowy, czuciowy i ruchowy, sprawdził stan jej organów i spostrzegł, że jest ona jeszcze dziewicą. Potem poprosił jej, by mu wszystko szczegółowo opowiedziała. Młoda kobieta wahała się powtórzyć swą bolesną historyę przy mężu, lecz Quinsac był nieubłagany. Jego ostry i wyraźny głos działał jak suggestya na osłabiony umysł Łucyi. Opowiedziała swe pierwsze sny, zdziwienie, gdy spostrzegła, że one odpowiadają rzeczywistości, wzruszenie, gdy ujrzała wychodzącego z kościoła pana Leyre'a; gdy znowu zawahała się na chwilę Quinsac, który trzymał ją za ręce, — rzekł poważnie: „No, drogie dziecko, proszę nic nie taić. Jest to twój obowiązek wobec lekarza i męża. Kłamstwo jest niegodnem ciebie“.

By ją zmusić do zupełnych wyznań, zaczął zadawać jej pytania i w ten sposób wyrwał z niej poprostu przechadzki z panem Leyre w Grenadzie, ich wzajemne czułości, pocałunki. Łucya cierpiała strasznie, płakała mówiąc, lecz mówiła, jak gdyby jakaś siła niepokonalna zwyciężyła jej wolę. Przytem Quinsac utkwił w niej swe szare jak stal oczy i widziałem wpływ, jaki na niej swym wzrokiem wywierał.

Pan Delille z początku był zaambarasowany, potem zaczerwienił się, wreszcie stał się bardzo bladym, zmarszczył brwi i chciał coś mówić, lecz Quinsac powstrzymał go ruchem ręki. Chciał powstać i wyjść, lecz drugi rozkazujący znak powstrzymał go na miejscu. Duma jego jako męża i próżność mężczyzny były jak na torturach. Żal mi go było, rozumiałem jednak zamiary mego uczonego kolegi i konieczność tej okrutnej operacyi, jakiej dokonywał.

Gdy Łucya opowiedziała już wszystko, Quinsac zażądał jeszcze szczegółów o ostatnich wypadkach w Grenadzie. Powtórzyła nam to, com słyszał od pana Leyre'a. Ostatni moment, jaki zapamiętała, było zasłonięcie jej przez Leyre'a przed nożem cyganki, więcej już nic nie widziała ani wiedziała. Natychmiast chciała opuścić Grenadę i wrócić do rodziców, mąż zgadzał się na to, lecz z powodu jej osłabienia musiano czynić w drodze częste przystanki.

— Dziękuję pani za opowiadanie i szczerość — rzekł Quinsac. Wiem, jak bardzo było to dla pani ciężkiem i przykrem, spowiedź ta jednak była niezbędną do przywrócenia pani zdrowia i szczęścia, na ostatniem słowie położył nacisk. Nie mówię tego tylko do pani, lecz i do pana Delille, którego można żałować. Niech pani nie traci nadziei i nie poddaje się zwątpieniu!

Następnie przeszliśmy razem z panem Delille



— Czy nie sądzi pan, że ten ślub jest przyczyną choroby?

do sąsiedniego pokoju, gdzie Quinsac znowu zaczął mówić:

— Nic innego nie mogę uczynić, jak tylko potwierdzić dyagnozę mego kolegi, doktora Heurtault, powtórzę ją jednak dla pana, ponieważ znaną mi jest szlachetność pańskiej rodziny. Pańska żona jest bliską śmierci ze zmartwienia i pan wie teraz z jakiego.

Przepraszam najmocniej, że w stanowczy sposób zmusiłem pana do wysłuchania opowiadania, które wymogłem na pańskiej żonie. Nie obwijam rzeczy w bawełnę, gdy chodzi o zdrowie i życie ludzkie. Panna Franchard poślubiła pana wbrew woli, kocha kogo innego, a okoliczności, w jakich to uczucie objawiło się, nie może ranić pańskiej dumy. Znalazł się pan wobec siły, której energia i sposób działania są jeszcze nieznane naturze ludzkiej. Nikt jej lepiej dotychczas nie zbadał od doktora Heurtaulta i to jest szczęśliwy traf, że właśnie jego wezwał pan do żony. Pani Delille ma wielkie poczucie obowiązku i pański honor nie jest niczem zagrożony: sny nie mogą go naruszyć. Sny te jednak mają dla lekarza wielkie znaczenie, okazują bowiem przyczynę zła, które może sprowadzić śmierć. Walka, jaką stacza pańska żona między uczuciem a obowiązkiem, niszczy jej słaby organizm. Ona nie może żyć, jeżeli jej obowiązki nie będą w zgodzie z uczuciem. Pan mnie zrozumiał. Przepraszam jeszcze raz za swą szorstkość, lecz trzeba działać szybko i energicznie, bo niebezpieczeństwo zagraża.

Pan Delille w zupełnem milczeniu wysłuchał doktora Quinsaca. Przez kilka jeszcze chwil pozostawał w zadumie, poczem odpowiedział zmienionym głosem:

— Dziękuję panu. Pan mnie ostro potraktował, lecz słowa pańskie dały mi poznać pańskie zamiary. Są one dobre. Ja mam wiele uczucia dla żony, lecz nie chcę, by należała do mnie wbrew swej woli. Nie jestem przyzwyczajony do tego rodzaju zwycięstw. Przytem chcę mieć zdrowe potomstwo, a zdrowie żony nie pozwala tego oczekiwać. Mówię do pana ze szczerością równą pańskiej. Gdybym przewidział to wszystko, z pewnością nie żeniłbym się. Niestety, jestem już żonaty z panną Franchard. Ona nie zgodzi się na rozwód, również i ja nie mogę na to przystać. Tradycye nasze rodzinne, jak i przekonania religijne sprzeciwiają się temu. Jesteśmy więc w położeniu bez wyjścia. Jeżeli jednak znajdę jaką możność wyjścia z tych trudności bez skandalu, nie zawaham się ani chwili. Będę rozmawiał jeszcze o tem z człowiekiem, któremu ufam; on może zdoła rozwiązać ten ciężki węzeł.

Nie mieliśmy już nic więcej do mówienia; pożegnaliśmy się z panem Delille, pozostawiając go w przykrem zamyśleniu.

Odbyliśmy jeszcze posiedzenie z panem Franchard. Stary dygnitarz był bardzo zmartwiony. Kochał swą córkę i widział, że poddał się głupiemu uporowi, nie można jednak było liczyć, że przyzna się kiedy do tego. Quinsac, który doskonale zna się na ludziach, poznał odrazu słabostki barona, kładł też nacisk na plotki, jakie wynikną ze stanu zdrowia jego córki, na skandal, wywołany możliwą jej śmiercią. Wogóle wykazał mu wszelkie najgorsze skutki, jakie choroba pani Delille może sprowadzić.

— Nie bardzo oszczędzałeś go — rzekłem do Quinsaca, gdyśmy wracali samochodem.

— Nie można było tutaj wahać się. Pan Delille jestto człowiek honorowy lecz słaby, baron zaś niezły, lecz głupi i uparty. Oni w najlepszej wierze dopuścili się najgorszego czynu, zmuszając do ślubu to biedne dziecko, które w istocie jest bardzo miłe i teraz znowu omyliliby się zupełnie szczerze i pochowali ją, gdyby nie wykazało się im brutalnie nagiej prawdy.

A wiesz co teraz uczynię? Zażądam honoraryum dziesięć tysięcy franków. Im drożej zapłacą, tem większą wagę będą przykładali do mej wizyty. Znam tego rodzaju ludzi. Ciebie poproszę, byś zajął się rozdaniem tych pieniędzy, gdyż nie chcę zachować ich dla siebie.

Na drugi dzień wysłałem rachunek swego kolegi; bardzo nalegał, by uczynić to, co nazywał „operacyą bolesną, lecz konieczną“. Natychmiast otrzymałem czek na imię doktora Quinsaca; potem dowiedziałem się, że wysokość honoraryum bardzo nieprzyjemnie zdziwiła barona, lecz zarazem i zwiększyła jego poszanowanie dla nauki Quinsaca, chociaż czynił pewne zastrzeżenia, co do jego wychowania.

Upłynęło kilka dni; użyłem ich na odkrycie intryg politycznych ojca Furstera i sądziłem, że Opatrzność mi pomaga. Niepokoiło mnie tylko milczenie pana Delille i rodziny Franchard; nie byłem wzywany wcale do Balizac i nie wiedziałem zupełnie, co się działo z chorą. Dopiero od pana Leyre'a dostałem wiadomości. Dziesiątego kwietnia przysłał mi bilecik, bym przybył do niego w ważnej i pilnej sprawie.

Mój młody przyjaciel zwolna tylko odzyskiwał siły, nie miał bowiem ani tej energii, ani pragnienia życia, które stanowią najpotężniejszą pomoc dla lekarza. Słaby był i nie miał apetytu; rana szczęśliwie zabliźniała się.

Gdym przyszedł, uderzyło mnie zaraz jego wzburzenie. Prosił matki, by pozostawiła nas samych i rzekł mi:

— Panie doktorze, widziałem Łucyę tej nocy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

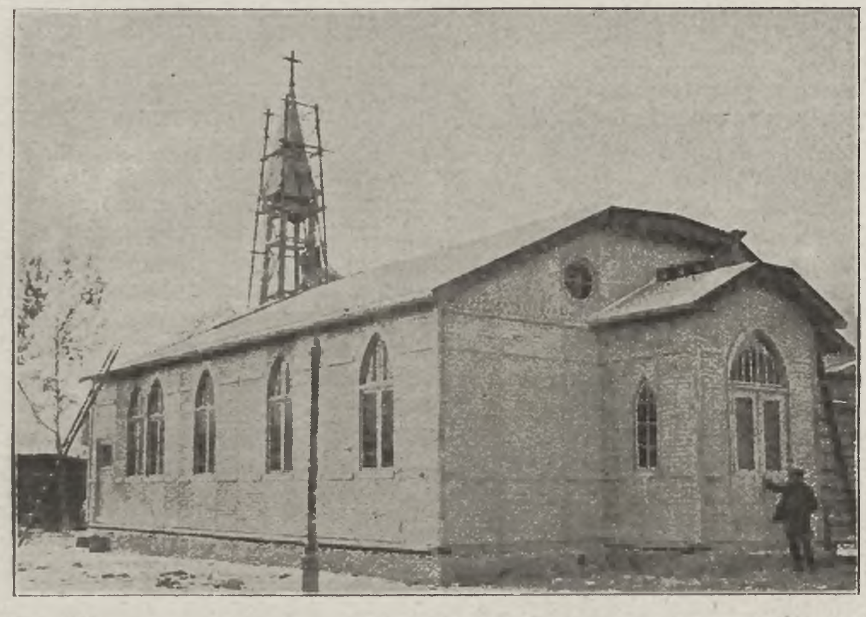
Nowe życie wśród ruin.

Przez pewien czas zdawało się, że niesłychaną klęską dotknięta Messyna, będzie z rzędu siedzib ludzkich wykreśloną. Proponowano za pomocą dynamitu i pocisków działowych zrównać gruzy z ziemią, a mieszkańców przenieść na inny punkt wybrzeża sycylijskiego. Przywiązanie jednak Messyńczyków do rodzinnego miasta, dalej kult, jaki Włosi mają do wszystkich miejsc uświęconych tradycyą, a wreszcie właściwa im zdolność zapominania najcięższych przejść, oraz optymizm wrodzony, sprawiły, iż odstąpiono od myśli ostatecznej zagłady Messyny.

Z pomocą ogromnych składek, napływających z całego świata, znaczna część mieszkańców tego nieszczęsnego miasta pozostała na miejscu i energicznie zabrała się do stworzenia sobie nowych warunków życia wśród jego ruin.

Nasze ryciny dają ciekawe obrazki, odnoszące się do tego na nowo wykwitającego życia. Weźmy n. p. taki skromny kościółek drewniany, zastępujący dawną wspaniałą katedrę, znaną Czytelnikom, z ryciny podanej swego czasu przez *Nowości Illustrowane*, lub też widok drewnianych baraków, stojących tam, gdzie kilka miesięcy temu wznosił się przy bulwarze nadmorskim szereg pysznych pałaców. Cóż to za zmiana dekoracyi!

A jednak duch ludzki silniejszy jest od ślepej przyrody i objawia się w nowem życiu po tak strasznej katastrofie. Oszołomiona bowiem ludność powraca do równowagi i pracy. Nie zapomniano także o dzieciach, które uczęszczają do szkół barakowych, wzniesionych na gruzach dawnych wspaniałych budynków szkolnych.



Nowe życie wśród ruin: Szkoła barakowa w Messynie.



Nowe życie wśród ruin: Kościółek drewniany, zastępujący katedrę w Messynie.

Na wygnaniu.

Po detronizacyi, wywieziono byłego sułtana Abdul Hamida do Salonik i internowano go w willi Allatini, gdzie pozostaje pod ścisłą strażą czterdziestu oficerów z korpusu macedońskiego.

W Salonikach są dwie wille, noszące nazwisko „Allatini“. Mniejsza z nich leży koło młyna, tuż nad morzem, większa, mająca nazwę „Ida“, należy do najpiękniejszych budynków w mieście. W niej mieszkał niegdyś komendant żandarmeryi, generał Robillant, obecnie jest ono więzieniem Abdul Hamida i jego otoczenia. Zbudował ją budowniczy Allatin. Zajmuje ona 460 metrów kwadratowych, ma trzy piętra i wspaniałe schody marmurowe, a otacza ją piękny park, obejmujący 23.000 metrów kwadratowych przestrzeni. Willa znajduje się za miastem, na wzgórzu, obok którego wznosi się fort Kuczuk Karamburlu i ta właśnie okoliczność rozstrzygnęła o jej wyborze. Stąd roztacza się wspaniały widok na morze i miasto, w pogodne dni widać nawet śniegiem pokryte wierzchołki Olimpu.

Zbudowano ją z cegieł na sposób wschodni, w czworobok, bez wszelkich ornamentacyi zewnętrznych. Trzypiętrowy budynek na każdym froncie posiada obszerny balkon, a pokryty jest wedle wschodniego zwyczaju płaskim dachem. Wewnętrzne urządzenie jest wspaniałe. Pałac składa się z 60 pokoi różnej wielkości z parkietowemi posadzkami i bogato rzeźbionymi sufitami, centralnem ogrzewaniem i wszelkim komfortem i chyba tylko gęsto rozstawione straże, które mają przeszkodzić znoszeniu się sułtana ze światem zewnętrznym i stojący w bliskiej zatoce okręt wojenny, przypominają, że nie jest to mieszkanie jakiegoś bogacza, ale więzienie byłego kalifa.

W willi tej zamieszkał sułtan wraz z dwu nieletnimi synami i czterema kobietami z haremu. Służbę stanowi kilka osób, przywiezionych wraz z sułtanem z Ildiz-kiosku, które dobrowolnie zdecydowały się dzielić z swym panem gorzki chleb wygnania. Początkowo obawiał się sułtan o swe życie, obecnie, gdy go zapewniono, że nikt na nie nie dybie, przyzwyczaja się powoli do nowego otoczenia, finansowe tylko kłopoty dają mu się od czasu do czasu we znaki. W ostatnich czasach rozeszła się wieść, na razie niesprawdzona, iż w Salonikach ma być także internowany najukochańszy syn Abdula Hamida, Burkhan-Eddin, którego uważano za głównego sprawcę ostatniego ruchu reakcyjnego w Turcyi.

Zamieszczamy dziś zdjęcie fotograficzne nowej siedziby zdetronizowanego sułtana. Rycina ta stanowi uzupełnienie zdjęcia pałacu Dolma-Bagdże, rezydencyi nowego sułtana Mahometa V.



Średniowieczna instytucya: Gwardya przyboczna królów angielskich, zwana „Honourable Corps of Gentlemen at Arms“.

Kronika tygodniowa.

(„Eismännery“. — Wilhelm w Wiedniu. — Kłopoty finansowej natury Bienertha i Bülowa. — Majówka posłów. — Sprawa kanałowa i inne dolegliwości Koła polskiego. — Z Konstantynopola. — Ruch młodoegipski. — Serbia. — Sprawa drożyzny. — Teatry i wystawa obrazów. — Warszawa).

Owa piękna pogoda, której w poprzedniej kronice poświęciłem uprzejme wspomnienia, utrzymuje się w całej pełni, a to dzięki tak zwanym „Eismännerom“, których pamiątkę obchodzimy corocznie 12, 13 i 14 maja. Obecnie o tyle się zmieniły stosunki, iż gdy dawniej zimno trwało trzy dni, obecnie rozciąga się na trzy tygodnie.

Obniżenie temperatury w powietrzu nie wpłynęło wcale na zmniejszenie gorąca uczuć, z jakiemi austryaccy prusofile przyjęli cesarza Wilhelma, który w powrotnej podróży z Korfu zawadził i o Wiedeń. Po wizycie w Brindisi, gdzie cesarstwo niemieccy spotkali się z królem Wiktorem Emanuelem i omawiali sprawę trójprzymierza, zjechał podróżnik wielki do stolicy Austryi, która na jego przyjęcie przystroiła się odświętnie. Cesarz Franciszek Józef w otoczeniu arcyksiążąt i dostojników oczekiwał na dworcu kolejowym na swego koronowanego kolegę. Po przybyciu pociągu, monarchowie ucałowali się trzykrotnie, co całą prasę austryacką wprowadziło w bardzo dobry humor, uważa bowiem to powitanie jako symbol trwałości trójprzymierza. Pomnika: *der deutschen Bundestreue* na razie budować się nie będzie, a prezydent Izby poselskiej dr. Pattai nie przemawiał, co wszechniemców zmartwiło, pomimo tego jednak cały przebieg uroczystości miał wybitny charakter manifestacyi na cześć trójprzymierza. Proponowano, aby którą ulicę lub plac nazwać imieniem wiernego sojusznika i ten plan nie został urzeczywistniony. Wiedeńczycy bowiem w gruncie rzeczy nie są wcale przyjaciółmi Prusaków, pominąwszy nieliczną garstkę zwolenników zasad i teoryi Wolfowsko-Schönererowskich. Z Wiednia cesarz Wilhelm spieszy nad brudną Sprewę, aby ratować Bülowa, który tonie w odmętach swej polityki Piętą Achillesową niemieckiego kanclerza, podobnie jak i jego austryackich kolegów, są finanse państwowe, które są w nader opłakanym stanie, a które trzeba koniecznie w jakiś sposób ratować. Na pokrycie wszystkich potrzeb bieżących nie wystarczy nawet pół miliarda, a kasy państwowe są puste. Ks. Bülow, widząc, że stanowisko jego jest zachwiane, trzyma się rękami i nogami, nie chcąc porzucić dotychczasowej posady i okazuje skłonność do wszelkich możliwych ustępstw i kompromisów.

W takich samych tarapatach jest i bar. Bienerth. Ten, ratując siebie, swój gabinet i Bilińskiego, znalazł szczęśliwie kozła ofiarnego w osobie wspólnego ministra finansów Buriana, który padnie ofiarą i ustąpi miejsca drowi Wekerlemu lub hr. Zichy'emu. Swoją drogą losy gabinetu Bienerthowskiego są bardzo niepewne i grozi albo dymisya całego, albo przynajmniej ekscellencyi Bilińskiego, któremu posłowie i prasa nie mogą w żaden sposób darować reform podatkowych i forytowania budapeszteńskich krezusów. *Ex re* wystąpienia i rozmaicie podawanej przez pisma polityczne przemowy ministra Bilińskiego w parlamencie, powstał huczek i w Kole polskiem, które już miało się rozsypać, na czas jednak wysmarowano oś i poprawiono obręcz, jest więc nadzieja, że potoczy się dalej jako tako. Twierdzono, że ludowcy wystąpią z Koła polskiego, co osłabiłoby jego znaczenie, na szczęście okazała się ta wieść fałszywą, skończyło się na razie na secesyi ks. Pastora z klubu ludowców, co zwierzchnik ich Stapiński przyjął do wiadomości ze złośliwą uwagą: „Baba z wozu, koniom lżej“.

Koło polskie dzięki braterskiej pomocy Czechów przegrało kampanię w komisyi budżetowej, gdzie odrzucono rezolucyę posła Battaglii w sprawie budowy kanałów, a przyjęto wniosek Mastalki, wzywający rząd do przedłożenia „nowej“ ustawy, co, jak wiadomo, jest tak zwanym w Austryi „schieberem“, usuwającym na dłuższy czas sprawę z przed oczu świata. Rozstrzygnęli na niekorzyść Polaków Czesi, a potem tłómaczyli się, iż w tej sprawie nikt z nimi nie przeprowadził rokowań.

Kilku posłów wraz z ministrem dla Galicyi drem Dulębą odwiedziło w tym czasie krakowskie zagłębie węglowe, aby zamanifestować, że interesują się tą, tak dla nas ważną sprawą. Mnie to wcale nie pociesza, z doświadczenia bowiem wiem, iż jest to zapowiedzią rychłego podrożenia węgli. Niech u nas tylko zajmie się ktoś jakąś sprawą, można być pewnym, że ani jej, ani społeczeństwu nie wyjdzie to na zdrowie. Obradowała w Krakowie także i ankieta węglowa, która stwierdziła, że mamy węgle w okolicy Krakowa, ale o tem wiedzieliśmy i bez niej.

Jeśli w opresyi finansowej jęczy i Austrya i Niemcy i wszystkie inne mocarstwa europejskie, to jakże się dziwić, że w ślad ich stękają i narzekają wszyscy, którym bryndza majowa daje się potężnie we znaki. Śruba podatkowa pracuje bez wytchnienia wszędzie, rekord światowy uzyskała jednak maszyna austryacka, wierszem i prozą wielbiona przez poetów wszystkich c. k. narodowości, zamieszkujących kraje w Radzie państwa reprezentowane. Wzorem zapobiegliwości i dojrzałości ekonomicznej może być jeden człowiek, a tym jest były c. k. sułtan turecki, który w czasie trzydziestokilkoletniej karyery politycznej potrafił sobie uciułać wcale pokaźny mająteczek, na który teraz Młodoturcy ostrzą sobie zęby i obiecują mu gratisowy wikt i opierunek w willi Allatini lub na jakiej spokojnej wyspie, byle tylko wydał go w ich ręce. Ale sułtan nie głupi, ani myśli wierzyć obietnicom, zwłaszcza że ciągle ma nadzieję, iż uda mu się może cichutko, jak to mówią po angielsku, wynieść z niewdzięcznej ojczyzny.

Z nad Bosforu nadchodzą coraz sprzeczniejsze wiadomości. Obiecywana kontrrewolucya nie wybuchła wcale, prawdopodobnie dzięki energii Młodoturków, którzy sądami wojennymi i częstymi egzekucyami (ale nie za długi) trzymają w ryzach swych politycznych przeciwników. Komendantowi zastępów młodotureckich Mahmudowi Szefket-baszy obiecują nagrodę Nobla, ponieważ, jak twierdzą, przez szybkie wkroczenie do Stambułu zapobiegł rzezi chrześcijan. Mnie się zdaje, że zabiegi Turków o tę nagrodę nie będą miały pożądanego skutku, poważnym bowiem kontrkandydatem jest pan Studnicki ze Lwowa, dzięki któremu znane przysłowie polskie ulegnie modyfikacyi na: „Wyrwał się, jak Studnicki na wiecu“.

Powodzenie Młodoturków zachęciło Egipcyan, którzy zupełnie na seryo mają ochotę przepędzić Anglików z nad Nilu i w tym celu zawiązali komitet młodoegipski z siedzibą w Genewie, skąd kierować będą całym ruchem. Do kłopotów, jakie Anglicy mają z inwazyą niemiecką, o której nie zapominają ani na chwilę, przybywa nowa zgryzota, ambicya angielska nie pozwoli bowiem, aby tak smaczny kąsek, jakim jest Egipt, wysunął się jej z rąk. Kto wie, czy i tu Niemcy nie umaczały swych rąk, cesarz Wilhelm zanadto kocha bowiem wujcia z nad Tamizy, aby o nim zapomnieć, choć ten ostatni dałby dużo za to, aby siostrzeniec bodaj na chwilę wypuścił go z swej pamięci. Dowodem, jak Anglicy na seryo traktują możliwość niemieckiej inwazyi, jest ostatnia wzmianka w gazetach o owych tajemniczych manewrach armii niemieckiej, która rzekomo pod osłoną nocy zbliżyła się do brzegów angielskich, a nawet miała wpłynąć w głąb kraju. Ile na tem prawdy, skonstatować na razie nie można, przestrach jednak Anglików, wywołany samą wiadomością, jest dobrą miarą, jak Anglia liczy się z Niemcami i spodziewa się z ich strony jakiejś niezbyt miłej niespodzianki. Są to jednak „strachy na Lachy“. Dzięki swej polityce Niemcy są obecnie odosobnione zupełnie w Europie, prócz Austryi nie mając żadnego alianta, a i na pomoc austryacką niewiele mogą liczyć, gdyż ich sprzymierzeniec musi bacznie zwracać uwagę na swe południowe granice. W naszych czasach wojna jest zanadto kosztowną rozrywką i nie każdy może sobie na nią pozwolić. Śpijmy więc spokojnie i przygotowujmy zapasy gotówki, aby było czem pokryć koszta zbrojnego pokoju, bardziej niszczącego całą Europę, niż najzaciętsza wojna.

Książę Jerzy przypomniał się znów światu. Twierdzono, że ma on zupełnie poważny zamiar wyjechać za granicę na uzupełnienie swych studyów, przeszkodzili mu jednak wierzyciele, którzy nie chcieli go wypuścić z swych objęć, tymczasem on sam się odezwał, iż ma zamiar pozostać w kraju i ubiegać się o restytucyę. Ponieważ do tego potrzebną jest uchwała tak zwanej wielkiej skupczyny, sprawa ma być załatwioną w jesieni. Obecnie Serbia kokietuje z Bułgaryą, starając się o nawiązanie z nią rokowań handlowych i zawarcie unii cłowej, natomiast odrzuciła propozycye posła austryackiego, mające na celu doprowadzenie do skutku traktatu handlowego między Serbią a naszą monarchią. Nie będziemy więc jedli serbskiej wieprzowiny, co znowu bardzo dodatnio powinno wpłynąć na usposobienie naszych panów masarzy, którzy będą mieli o jeden powód więcej do podniesienia cen swych smakowitych wyrobów.

A komisya drożyźniana jak spała, tak śpi. Dzięki jej energii, zanim sprawa jakaś przejdzie alembik komisyi, podkomisyi, komitetów, subkomitetów, ankiet i tym podobnych prób ogniowych, węgiel potanieje w sierpniu, kiedy kalendarz obiecuje ciepło, a mięso i wędliny... kiedy pomrzemy z głodu. Miejmy jednak nadzieję, że nasze wnuki będą zbierać owoce tej pracy, choć powolnej, lecz wydatnej i obfitej w skutki. Zupełnie podobnie dzieje się z wszelkiemi innemi kwestyami, na których urzeczywistnienie czekamy cierpliwie. Do rzędu ich należą: sprawa kanałowa, budowa i odniemczenie krakowskiego dworca, ubezpieczenie miasta przed powodzią i wiele, wiele innych, do których spełnienia pobożnie wzdychamy, niestety jednak pocieszamy się tylko obietnicami różnych świeczników naszego społeczeństwa, że „jakoś to będzie“.

Na rozweselenie się w onem oczekiwaniu mamy teatr miejski, w którym gości obecnie nasz znakomity Żelazowski, teatr ludowy, pracujący nader gorliwie, lecz nie mogący jakoś przekonać naszej publiczności, że stosunki zmieniły się na lepsze z chwilą objęcia kierownictwa przez Rygiera, Colosseum, Varieté w Parku krakowskim i cyrk. Jak na Kraków rozrywek aż zanadto, zwłaszcza w porze letniej, kiedy każdy spieszy za miasto, lub choćby na plantacye, aby tam użyć świeżego powietrza i odetchnąć swobodnie. Mamy także co święto i niedzielę festyny, od czasu do czasu wiece i zgromadzenia, czasem kelnerzy pobiją w kawiarni gościa, ot nie braknie nigdy materyału, o którym możnaby pisać i rozmawiać.

Do najbardziej pożytecznych, bo bardzo dodatnio wpływających na rozwój umysłowy każdego z czynników, należy zwiedzanie wystawy obrazów w Towarzystwie Sztuk Pięknych. Niestety u nas bardzo wielu zapoznaje doniosłość i kulturalne znaczenie tej umysłowej rozrywki, albo omija systematycznie wystawę, albo zwiedza ją dla pokazania światu, że i oni zajmują się sztukami pięknemi. Przyznać trzeba, że do obniżenia zapału i zamiłowania do sztuki przyczynił się bardzo wydatnie pewien odłam artystów, zwolenników nowego kierunku, a grupujących się koło szumnie i pięknie nazwanej „Sztuki“, która przed miesiącem niespełna zamknęła gościnne podwoje i zwinęła namioty. W dniu 3 czerwca nastąpi otwarcie „Zera“, koło którego grupują się nasi najznakomitsi artyści, to też prawdziwi miłośnicy sztuki i jej wielbiciele już zawczasu cieszą się, bardzo wiele obiecując sobie po niej i z pewnością się nie zawiodą. Powiada stare łacińskie przysłowie, że *nomen-omen*, tu jest akuratnie odwrotnie, jakby na dowód, że wyjątki zawsze potwierdzają regułę. W międzyczasie wystawa przedstawia się bardzo dodatnio. Widzimy tu znakomite pejzaże Stanisława Czajkowskiego, wykazujące niepospolity talent i wyborną obserwacyę natury, dużo zapowiadające widoki Leona Rosenbluma, między którymi wyróżniają się bardzo korzystnie: „Widok wieczorny na katedrę Nôtre Dame w Paryżu“ i „Motyw z Zakopanego“, pełne niewieściego wdzięku portrety, rysowane węglem i ołówkiem przez Emilię Knausówn̨ę, obok uderzających ekspresyą pasteli Małgorzaty Ładówny, dalej parę prac Vlastimila Hoffmanna, który szybkim krokiem zdąża naprzód, a wreszcie kilka interesujących płócien Alfonsa Karpińskiego, Teodora Grotha i Artura Markowicza. Jeśli mi Szanowny Czytelniku nie wierzysz, zerwij z dotychczasowem uprzedzeniem, pofatyguj się na Plac Szczepański, a za kilkanaście centów odniesiesz wielką korzyść, gdyż przyjemnie czas spędzisz i kto wie, czy nie nabędziesz zamiłowania do sztuki, która u nas tak jest po macoszemu traktowana.

Warszawiacy, a właściwie ich tak zwana „piękniejsza połowa“ wynaleźli sobie nową rozrywkę. Staraniem stowarzyszenia dla równouprawnienia kobiet, urządza się publiczne rozprawy sądowe nad bohaterami i bohaterkami celniejszych nowoczesnych utworów. Niedawno osądzono w ten sposób Ewę Pobratyńską z „Dziejów grzechu“, obecnie czeka na swą kolej sprawca jej nieszczęścia. Rzecz sama pomyślana może dobrze, wykonana jednak mniej udatnie, roztrząsanie między mi brudów, nie przyczynia się wcale do uszlachetnienia ludzkości. A przecież w literaturze naszej, choćby nawet i najnowszej, mamy wiele postaci, które prędzej zasługują, by stanowiły przedmiot publicznej dyskusyi.

X.

Średniowieczna instytucya.

Z pomiędzy wszystkich krajów europejskich, Anglia jest krajem jedynym, gdzie w szczególny sposób łączy się postęp z odwiecznymi tradycyami, które napotyka się w wielu dziedzinach życia publicznego, a nawet prywatnego. Rzecz oczywista, że w starannem pielęgnowaniu rozmaitego rodzaju tradycyjnych zwyczajów, przoduje Anglikom rodzina królewska, schlebiając w ten sposób narodowemu zamiłowaniu nawet do drobnostek, jakie przekazała potomności przeszłość w sławnem zjednoczonem królestwie Wielkiej Brytanii.

Jedną z takich średniowiecznych instytucyj, jakie przechowały się dotąd na dworze angielskim, jest królewska honorowa gwardya przyboczna, nosząca urzędowy tytuł: *The honourable corps of Gentlemen-at-Arms*, a złożona z oficerów szlacheckiego pochodzenia.

Gwardya ta, której komendanta, podpułkownika Fletchera, oraz dwóch gwardzistów, przedstawia nasza rycina, obchodziła tymi dniami 400-letni jubileusz swego istnienia, sformowaną bowiem została zaraz po wstąpieniu na tron Henryka VIII-go.

Obowiązkiem jej było niegdyś bronić osoby monarchy podczas bitwy. Dziś zaś pełni tylko służbę honorową w rezydencyi królewskiej i towarzyszy panującemu podczas uroczystego otwarcia sesyi parlamentu w pałacu westminsterskim. Gwardzistom, noszącym wspaniały, ale zmodernizowany uniform, została z dawnych czasów jedynie halabarda, która jest oznaką ich godności. Powołanie do składu tej gwardyi, uważane jest przez szlachtę angielską za wielkie odznaczenie ze strony monarchy.



Nowe życie wśród ruin: Ulica nad brzegiem morza w Messynie z domkami drewnianymi.



Chybiony strejk pocztowo-telegraficzny: Żołnierz spełniający czynności listonosza.



Fot. M. Münz, Lwów.

Kurs majsterski stolarzy: Uczestnicy i nauczyciele kursu. 1. S. Jamroz, kierownik. 2. Inż. K. Adam. 3. dr. Schoennet, instr. przem. 4. dr. Frankowski, lekarz. 5. inż Stefanowski.

Poświęcenie sztandaru sokolego.

Założone przed paru laty we Lwowie gniazdo „Sokół III.", grupujące w swem łonie mieszkańców dzielnicy Żółkiewskiej, rozwinęło się—podobnie jak



Nowy sztandar sokoli: Sztandar „Sokoła III" we Lwowie.

inne lwowskie gniazda — bardzo szybko i bardzo pięknie, a dowodem rozwoju była uroczystość poświęcenia własnego sztandaru; uroczystość ta odbyła się w ubiegłą niedzielę.

Dzień ten był świętem całej polskiej społeczności, zamieszkującej tę dzielnicę Lwowa. Domy przy ulicach, którymi kroczyć miał pochód dziarskich Sokołów, przyozdobiono chorągwiami, kobiercami, zielenią.

Obchód rozpoczął się zebraniem członków wszystkich lwowskich gniazd i delegatów z prowincyi w sali „Sokoła" Macierzy, skąd ruszono pochodem przy dźwiękach orkiestry ku ul. Żółkiewskiej, na boisko „Sokoła III."

Tam oczekiwały Sokolstwa tłumy publiczności, delegaci towarzystw rękodzielniczych, straży pożarnych ochotniczych itd. Przy ołtarzu ustawionym w głębi boiska, odprawił cichą mszę świętą ks. arcybiskup Bilczewski, który następnie wygłosił podniosłą przemowę, wyrażając radość z powodu rozwoju i postępu idei sokolej i wzywając sokolstwo, by wierne hasłom polskiego rycerstwa szło naprzód w obronie wiary i Ojczyzny.

Następnie przemawiali prezes Związku sokolego dr. Fiszer i prezes „Sokoła III" p. Sigmund, poczem ks. arcybiskup poświęcił nowy sztandar i rozpoczął wbijanie gwoździ w drzewce. Po ks. arcybiskupie uczynili to wiceprezydent miasta Epler, prezes dr. Fiszer, marszałek powiatu lwowskiego Baczewski itd.

Po oddaniu sztandaru w ręce chorążego p. Antoniego Langnera, ruszył pochód znowu przy dźwiękach orkiestry i pomaszerował ulicami sąsiedniemi pod gmach „Sokoła III" przy ul. św. Marcina. Tu rozwiązał się pochód i uroczystość na tem zakończono.

Kurs majsterski stolarzy.

Krajowy kurs majsterski dla stolarzy urządzony został we Lwowie staraniem krajowej komisyi przemysłowej w czasie od 15 marca do 15 maja b. r. Na kursie tym rozszerzono uczestnikom nietylko zakres wykształcenia teoretycznego, ale i praktycznego, szczególnie w kierunku bajcowania i politurowania drzewa.

Na zakończenie kursu została urządzona wystawa prac uczniów, na którą złożyły się: szkice bram i drzwi wchodowych ozdobnych, wystaw sklepowych i urządzeń wewnętrznych do tychże, szczegóły okien różnego typu, szkice mebli, urządzeń całych pokoi i biur w różnych stylach, nie pomijając stylu ludowego, nadto rysunki geometryczne w zastosowaniu do przemysłu drzewnego, wzory do buchalteryi i stylistyki.



Na wygnaniu: Willa Allatini w Salonikach, obecne więzienie byłego sułtana Abdul Hamida.

Wystawę otworzył w obecności zgromadzonych uczestników i nauczycieli kurator krajowych kursów, p. Nawratil, a wskazując w swem przemówieniu na liczne prace rysunkowe i pilność uczniów, zachęcał ich do dalszej pracy zawodowej dla dobra kraju i dobra własnego i wzywał, by nabyte na kursie wia-



Fot. M. Münz Lwów.

Nowy sztandar sokoli: Wydział gniazda „Sokół III" we Lwowie.

domości rozszerzali i by stosunek pracodawcy i pracującego był szczery i serdeczny, a młodzieży rzemieślniczej by byli dobrym przykładem.

Uczestnicy wyrazili podziękowanie kuratorowi za gorliwą poacę i opiekę, a Wydziałowi krajowemu i krajowej komisyi za urządzenie kursu, z którego prawdziwą i nieocenioną w ich zawodzie korzyść odnieśli.

Rzezie Ormian w Małej Azyi.

Prawie równocześnie z kontrrewolucyą, jaka wybuchła nad Bosforem w połowie ubiegłego miesiąca, przyszło do strasznych rzezi chrześcijańskiej ludności ormiańskiej, zamieszkującej pobrzeże Małej Azyi na północ od Syryi. Ten nagły wybuch fanatyzmu muzułmanów, przez nikogo nieprzewidziany,



Rzezie Ormian w Małej Azyi: Zbiegowie ormiańscy w kościele misyi francuskiej w Alexandrecie.

mimowoli nasuwa myśl, że pozostaje on w związku z ową kontrrewolucyą, która była odruchem reakcyi. Bardzo jest tedy prawdopodobnem, iż zdetronizowany Abdul Hamid, którego bezpośredni udział w wypadkach z dnia 13 kwietnia został już stwierdzony, pragnął na wielu punktach swego państwa wywołać rzezie chrześcijan, aby w ten sposób pobudzić fanatyzm religijny tłumów, nie sympatyzujących z ruchem młodotureckim, a także żeby skompromitować rządy młodotureckie i wywołać wmieszanie się obcych mocarstw.

Ta chytra gra nie udała się jednak staremu łotrowi, bo pomimo wszystkiego strącono go z tronu, lecz niestety podjudzona dzicz muzułmańska, której przewodzili Kurdowie, wylała morze krwi chrześcijańskiej w Adamie, Mertzymie, Latakii i wielu innych miejscowościach. Dotąd niema dokładnych danych o ilości pomordowanych Ormian bez różnicy płci i wieku, w każdym razie zginęło ich kilkadziesiąt tysięcy.

Na wieść o tych rzeziach wiele państw wysłało swe statki w tamte strony, aby nieść pomoc tym Ormianom, którzy wprawdzie uszli z życiem, lecz którym spalono domy, oraz zrabowano zapasy żywności i mienie.

Załączone ryciny przedstawiają właśnie tych zbiegów ormiańskich, którym udało się schronić w Alexandrecie do kościoła i kaplicy misyi, pozostającej pod opieką francuską, oraz na pancernik francuski „Jules Ferry“. Są to przeważnie kobiety i dzieci, bo mężczyzn mordowano bez pardonu.

Należy spodziewać, się ze sułtan obecny i Młodoturcy, których jest kreaturą, postarają się, aby winni rzezi zostali przykładnie ukarani i aby w możliwy sposób wynagrodzono doznane straszne krzywdy nieszczęsnym Ormianom.

Lena Winiewska.

Krakowski teatr ludowy stał się od chwili objęcia go przez dyrektora Edmunda Rygiera nietylko miejscem niedrogiej, a miłej rozrywki, ale i placówką nową sztuki dramatycznej. Sztandar jej dźwignął wysoko nietylko dyrektor, sam znakomity artysta, ale i kilka bardzo wybitnych sił, które dla swego przedsiębiorstwa umiał pozyskać.

W rzędzie tych sił pierwsze bezsprzecznie miejsce przyznać należy pannie Lenie Winiewskiej. byłej artystce teatru w Łodzi i we Lwowie. Urodzona i wychowana w Warszawie, po ukończeniu gimnazyum ze złotym medalem, poświęciła się pracy na scenie, a debiut jej w teatrze lwowskim w roli Maryny w „Weselu“, przyniósł zgodne uznanie krytyki. Nadzwyczajne warunki zewnętrzne, postawa wyniosła, twarz piękna, a pełna wyrazu i ruchliwa, oczy wymowne, głos ogromnie dźwięczny i donośny, dykcya doskonała, a przytem wysoka inteligencya i duże wykształcenie, wszystko to składa się na całość niepoślednią i kwalifikuje p. Winiewską znakomicie do ról dramatycznych, bohaterskich.

W dotyczasowej swej, czteroletniej karyerze artystycznej, cieszyła się wszędzie wielkiem powodzeniem. Po debiucie we Lwowie, została zaangażowaną do teatru w Łodzi i pracowała tam przez trzy lata, kreując cały szereg ról w dramatach i poważniejszych komedyach. Krytyka miejscowa nie szczędziła młodej, a utalentowanej artystce uznania, publiczność zaś darzyła ją szczerymi oklaskami.

W początku ubiegłego sezonu przeniosła się na scenę lwowską, gdzie kreowała kilka większych ról, między innemi Judytę w „Urjelu Akoście“ i Emilię w „Otellu“. Obie role wypadły w interpretacyi p. Winiewskiej bardzo dobrze i przyniosły jej nowe pochwały.

Przez czas jakiś występowała następnie na prowincyi, w teatrze pp. Janowskich, grając w sztuce p. Zapolskiej-Janowskiej p. t. „Skiz“ rolę Lulu. Występy jej w tym teatrze były prawdziwą atrakcyą i przyczyniły się niemało do powodzenia, jakie doskonała sztuka zdobyła we wszystkich większych miastach Galicyi.

Obecnie została pozyskana przez dyr. Rygiera dla teatru ludowego. Jej dotyczasowe występy na scenie tutejszej, nawet w rolach niezupełnie odpowiednich zakresowi talentu artystki, potwierdziły w zupełności opinię, z jaką p. Winiewska do Krakowa przybyła. Wykazały, że jest to artystka niepospolicie utalentowana i inteligentna, która stanowić będzie prawdziwą ozdobę trupy dyr. Rygiera.

Kandydat na premiera.

Przesilenie ministeryalne na Węgrzech trwa dalej. Mimo upływu długiego przeciągu czasu, sprawa nie posunęła się ani o krok naprzód i polityka rządu węgierskiego jest ciągle w stadyum przejściowem.

Spodziewać się należy, że jednak wreszcie nastąpi rozstrzygnięcie stanowcze i że gabinet Wekerlego poda się do dymisyi.



Rzezie Ormian w Małej Azyi: Zbiegowie ormiańscy w zabudowaniach misyi francuskiej w Alexandrecie.

Obecnie toczą się ciągłe rokowania między rządem węgierskim a austryackim w kilku doniosłych sprawach i prezydent ministrów Wekerle bawił przez dłuższy czas w Wiedniu, gdzie konferował z prezydentem ministrów austryackich bar. Bienertem i z ministrem spraw zagranicznych bar. Aehrenthalem.



Rzezie Ormian w Małej Azyi: Zbiegowie ormiańscy, chroniący się na łodzie francuskiego pancernika.



Lena Winiewska.

Z wiadomości, podanych przez dzienniki wiedeńskie i budapeszteńskie wynika, że dymisya Wekerlego jest kwestyą niewielu już dni, a jako następcę jego wymieniają zgodnie hr. Juliusza Andrassy'ego.

Hr. Andrassy jest człowiekiem w sile wieku, pełnym energii, wysoce utalentowanym politykiem i dyplomatą. Cesarz Franciszek Józef powoływał go już kilkakrotnie do Wiednia na audyencye, a także bawiąc niedawno w czasie przesilenia w Budapeszcie, konferował z nim długo.

Zdaje się też, że opinia w tym wypadku nie myli się, hr. Andrassy bowiem jest istotnie najpoważniejszym dziś kandydatem na prezydenta ministrów węgierskich.

Z tej też okazyi zamieszczamy dziś jego portret na str. 3.

Zasądzenie dygnitarza policyjnego,

(Do illustracyi na str. 4.)

Sensacyjna afera Łopuchin-Aziew, doczekała się częściowego epilogu w procesie, odbytym w ubiegłym tygodniu w Petersburgu przeciw Łopuchinowi. Łopuchin był swego czasu dyrektorem depertamentu



Józef Zejdowski.

policyjnego w Petersburgu, dygnitarzem więc bardzo wysokim. Na stanowisku tem dopuścił się on wielkiego przekroczenia obowiązków swoich, gdyż wszedł w stosunki z rewolucyonistami rosyjskimi i pozostawał z nimi w bliskim kontakcie za pośrednictwem Aziewa, Bakaja i innych tajnych ajentów.

Przed paru miesiącami, kiedy zdemaskowano Aziewa, wyszła na jaw rola Łopuchina, jaką w tem wszystkiem odegrał. Z tego też powodu został aresztowany i po długiem śledztwie stawiony przed sąd.

Proces przeciw niemu stał się sensacyą pierwszego rzędu. Najwyższe sfery towarzyskie cisnęły się tłumnie do gmachu, w którym rozprawa się toczyła, aby zobaczyć oskarżonego oraz świadków i przysłuchić się rozprawie. Przybyli też członkowie Rady państwa i senatorowie.

Obrony Łopuchina podjął się znany adwokat petersburski Passower. Łopuchin, przesłuchany na wstępie rozprawy, oświadczył, że czuje się zupełnie niewinnym. Z pomiędzy wezwanych do rozprawy świadków bardzo wielu nie stawiło się, własnie ci, których widzieć i słyszeć pragnęła żądna sensacyi publiczność. Zeznania tych świadków odczytywano tylko.

Mimo dzielnej obrony adwokata Passowera. sąd uznał Łopuchina winnym i skazał go na pięć lat robót przymusowych. Jest to wyrok względnie łagodny, przyjęto bowiem kilka okoliczności łagodzących. Wyrok ten musi być jeszcze zatwierdzony przez cesarza rosyjskiego, skazany bowiem jest szlachcicem.

Józef Zejdowski.

Teatr Rozmaitości w „Parku Krakowskim“ pozyskał na kilka tygodni nadzwyczaj miłą i sympatyczną atrakcyę. Są nią występy znakomitego komika Józefa Zejdowskiego, byłego artysty teatrów rządowych w Warszawie, teatru lwowskiego i poznańskiego.

Przed kilku laty porzucił p. Zejdowski teatr i poświęcił się wyłącznie nowemu w Polsce rodzajowi sztuki aktorskiej, a mianowicie satyryce, stawiając ten rodzaj dzięki niezwykłym zdolnościom i doskonałym warunkom zewnętrznym na poziomie wysokim i prawdziwie artystycznym.

P. Zejdowski jest artystą bardzo inteligentnym i ma dużo poczucia piękna. To też jego produkcye są zawsze interesujące, zawsze wesołe, dowcipy pomysłowe i dotąd nieznane, a nigdy trywialne. Lekkość i wdzięk cechuje każde powiedzenie młodego artysty, zapewnia mu oklaski i brawa. Czy w monologach prozą lub wierszem, mówionych lub śpiewanych, czy w nadzwyczajnych transformacyach, Zejdowski jest zawsze doskonały i humorem swym eleganckim i dyskretnym „bierze“ publiczność.

W tym kierunku wyrobił on już sobie dużą sławę. Znają więc Zejdowskiego w Warszawie we Lwowie i Krakowie, znają i zagranicą, a wszędzie go lubią i cenią.

Odpowiedzi Redakcyi.

W. P. W. Rapacz Żarki, M. Kościński Żarki, S. Danziger Osiny, M. Świszczowska Swoszowice: Rozwiązsnia otrzymaliśmy już po oddaniu pisma pod prasę, nie mogły więc w odpowiednim numerze być umieszczone. Uprnszamy o wcześniejsze nadsyłanie tak, aby najdalej we wtorek rano mogły być w Redakcyi.

W. P. Grzegorz w Kobylcu: Dziękujemy za pamięć, ale skorzystać nie możemy, gdyż sprawa jest spóźniona.

W. P. Sołtykowski Dębica: Rozwiązania zagadek z Nr. 18 ani 19 nie otrzymaliśmy.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 19.

Logogryf: Henryk Caruso.
Łamigłówka: Krew nie woda.
Szarada: Karazya.
Krzyż magiczny: Biegacz, rogówka, klawisz.
Szarada: Zaraza.
Logogryf: Józef Biliziński.
Zagadka: Skok — koks.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: O. Górkowa Chyrów, L. Dabski Rzeszów, A. Biliński Tarnopol, J. Lewicki Kołomyja, W. Weingarten Sanok, J. Lindenbaum Czerniowce, W. Rapacz Żarki, M. Kościński Żarki, W. Cieśliński Rzeszów, A. Tyszkowski Sambor, J. Gryziecki Tarnów, K. Trzeciak Kraków, M. Lipiński Warszawa, B. Lindt Kraków, J. Ochs Płock, H. Chodkiewicz Warszawa, A. Połończykowa Żywiec, J. Augustynowicz Żywiec, S. Karczmarski Kołomyja, K. Biliński Stanisławów, J. Rebhuhn Kołomyja, J. Zdzienicki Kraków, M. Aleksandrowicz Tarnów, J. Cichocki Rzeszów, K. Brzostowski Krosno, W. Mazarski Kraków, A. Brandys Łukowica, R. Kosiński Łukowice, M. Ichniowski Lwów, H. Maciejowski Kraków, W. Maryański Tarnów, J. Kempf Kraków, B. Immerglück Rzeszów, A. Bergstein Rzeszów, J. Klappholz Rzeszów, W. Uznański Kraków, C. Zembrzycki Tarnów, J. Wirski Lwów, M. Świszczowska Swoszowice, M. Opolska Czarny Dunajec, W. Olszewski Kraków, T. Zapała Kraków, J. Krawecki Tarnów, T. Sichierzyński Bochnia, J. Łomnicki Tarnopol, J. Lipski Krosno, J. Trepka Kraków, B. Gnoiński Drohobycz, Z. Gumiński Tarnów, M. Kuzia Wadowice, Ł. Witekowa Mościska, J Fischer Warszawa, J. K. Januszewski Podgórze, S. Dunziger Osiny, A Bocson Bóbrka, J. Zamorski Kraków, W. Pattewicz Kraków, J. Patelski Lwów, W. Dymidowicz Płock, L. Osterzetzer Rawa, D. Piotrowski Rzeszów, J. Ohlebowicz Tarnów, W. Lubliner Lwów, M. Mikołajski Kraków, W. Rosengarten Tarnobrzeg, W Kowarzyk Lwów, W. Laskowski Warszawa, A. Krupska Łódź, M. Mroziński Piotrków, W. Kowalski Lublin, K. Fuchs Czeremchów, S. Cześnikiewicz Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał *B. Lindt Kraków.* Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Nadesłane.

Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

Zapach Damy w czerni

napisał **Gaston Leroux.**

13 (Cąg dalszy).

Jednem słowem zbliżał się do fortu Herkulesa. Wysiadł w Mentonie. Zapewne nie chciał przybyć tutaj pociągiem paryskim, by przypadkiem nie spotkać kogo znajomego. Na dworcu podniósł do góry kołnierz od zarzutki, naciągnął kapelusz na oczy i rzucając dokoła trwożne spojrzenia, wsiadł do omnibusu, stojącego przed stacyą. Jeden z tragarzy powiedział mi, że jest to omnibus z Soppel.

Soppel jestto malutkie, malownicze miasteczko, położone o dwie i pół godziny drogi końmi od Mentony. Żadna kolej żelazna nie przechodzi tamtędy. Po co Brignolles jedzie do Soppel? Trzeba się przekonać. Omnibus zwolna napełnił się podróżnymi i ruszył w drogę. Nająłem niewielki wózek i ruszyłem za nim. Jakże żałowałem, żem nie uwiadomił Rouletabille'a. On by wpadł już na jaką rozsądną myśl, podczas gdy ja zdołałem tylko śledzić Brignolles'a i w dodatku źle. Dałem się wyprzedzić omnibusowi i przybyłem do Castillon, które znajduje się mniej więcej na połowie drogi między Mentoną i Soppel, w dziesięć minut po nim. Woźnica mój chciał napoić konie. Zeszedłem z wózka i oto przy wejściu do tunelu, który był po drodze, ujrzałem... Brignolles'a i Fryderyka Larsana.

Zostałem na miejscu jakby rażony piorunem od tego odkrycia. Ah! więc dobrze przeczuwałem, że ten Brignolles stanowi poważne niebezpieczeństwo dla Roberta Darzaca. Brignolles kreaturą Larsana, wspólnikiem Larsana!... co za odkrycie. Lecz gdzież oni się podzieli? Nie widziałem ich nigdzie... Zapewne w tunelu. Pospieszyłem tam, trzymając w ręku w kieszeni rewolwer... Niema ich. Przebiegłem cały tunel... Ani Larsana, ani Brignolles'a. Patrzę na drogę prowadzącą do Soppel... Nikogo na drodze... Lecz na lewo, koło starego Castillonu dostrzegłem posuwające się szybko dwa cienie... Nikną... Biegnę... Jestem pośrodku ruin, zatrzymuję się. Kto wie, czy te dwa cienie nie czyhają na mnie gdzie za murem?...

Stare Castillon nie jest zamieszkałe. Zostało zwalone przez trzęsienie ziemi w 1887 roku. Pozostały tylko zburzone mury i gdzieniegdzie sterczące ściany. Dokoła mnie milczenie. Z wielką ostrożnością przebierałem się przez gruzy, spoglądając z ciekawością w głębokie szczeliny, utworzone przez trzęsienie ziemi. Gdym pochylił się nad jedną, szczególnie głęboką, zostałem uderzony skrzydłem. Rzuciłem się w tył z krzykiem. Z przepaści tej wyleciał orzeł: wzbił się prosto w słońce, potem spuścił się nademnie zakrążając wielkie koła z głośnym dzikim wrzaskiem, jakby czynił mi wyrzuty, żem przyszedł naruszyć spokój tego królestwa smierci, które otrzymał w dani od ognia podziemnego. Cienie me znikły. Na drodze znalazłem kawałek papieru listowego, który wydał mi się szczególnie podobnym do tego, jakiego używał Robert Darzac w Sorbonie. Na papierze tym odcyfrowałem dwie sylaby napisane przez Brignolles'a: kończyły one słowo, któremu brak było początku; przeczytałem tylko „bonnet“. W dwie godziny potem byłem już w forcie Herkulesa i opowiedziałem wszystko Rouletabille'owi, który ograniczył się tylko na schowaniu tego kawałka papieru do portfelu i na poproszeniu mnie, bym zachował to wszystko w tajemnicy. Zdziwiony, że wywołałem tak małe wrażenie odkryciem, które uważałem za bardzo ważne, spojrzałem na Rouletabille'a. Odwrócił szybko głowę, dojrzałem jednak, iz oczy miał pełne łez.

— Rouletabille! — zawołałem...

Zamknął mi usta:

— Sainclair! Sainclair!

Wziąłem go za rękę: miał gorączkę. Domyśliłem się, iż to wzruszenie nie pochodzi jedynie od zajmowania się Larsanem. Wymawiałem mu, iż ukrywa przedemną to, co zachodzi między nim a Damą w czerni, według jednak swego zwyczaju nic mi nie odpowiedział i oddalił się, głęboko wzdychając.

Oczekiwano mnie. Było już późno. Obiad był smutny mimo wybuchów śmiechu starego Boba. Nie próbowaliśmy nawet ukryć swego smutku. Zdawało się, iż każdy z nas odczuwał wiszący nad nami cios. Państwo Darzac nie jedli. Pani Edyta jakoś dziwnie na mnie spoglądała. O godzinie dziesiątej objąłem swój posterunek przy Wieży Ogrodniczej; ujrzałem jak przechodzili pod sklepieniem Dama w czerni i Rouletabille. Pani Darzac wydała mi się bardzo podniecona, Prosiła o coś gorąco Rouletabille'a. Doszło mnie tylko jedno słowo jego odpowiedzi: „Złodziej!“ Wyciągnęła do niego ręce, lecz on tego nie widział, gdyż już odchodził od niej i poszedł do swego pokoju. Przez chwilę pozostała na dziedzińcu, oparta o eukaliptus, potem weszła wolno do Wieży Czworobocznej. Było to dziesiątego kwietnia. Atak na Wieżę Czworoboczną miał się odbyć w nocy z jedenastego na dwunasty.

X.

Atak ten odbył się w warunkach tak niezwykłych, iż muszę przedstawić przebieg całego dnia następnego, aby można było pojąć to, co w wypadkach tych było tragicznego ponad miarę.

PORANEK.

Przez cały dzień panowało duszące gorąco i godziny straży były nadzwyczaj uciążliwe. Słońce lało potoki żaru, przepalając wszystko do białości, tak iż musieliśmy włożyć na oczy ciemne szkła, by nie popsuć wzroku.

O dziewiątej godzinie wyszedłem ze swego pokoju i udałem się do sali wojennej, tak nazwanej ponieważ w niej naradzaliśmy się pierwszego wieczora nad środkami obrony. Miałem zwolnić ze straży Rouletabille'a. Za mną przyszedł zaraz Darzac, mówiąc, iż ma nam do zakomunikowania bardzo ważne rzeczy, a mianowicie postanowienie swe opuszczenia wraz z żoną fortu. Wiadomość ta zdziwiła nas. Zaraz zacząłem nakłaniać go, by zaniechał podobnego projektu. Rouletabille zapytał zimno, dlaczego chce to uczynić. Podał swe powody, przedstawiając scenę, jaka się odbyła wczoraj wieczorem w zamku. „Pani Edyta miała atak nerwowy“. Zrozumieliśmy zaraz wskutek czego, gdyż nie stanowiło to dla nas najmniejszej wątpliwości, iż pani Edyta staje się coraz zazdrośniejsza o względy, jakie mąż jej okazuje pani Darzac. Darzac, który noc swą spędził na straży przy Wilczycy, słyszał gwałtowną kłótnię.

Rouletabille zaczął perswadować. Przyznał iż pobyt państwa Darzac w forcie winien być jak najkrótszy, zwrócił jednak uwagę, iż rozchodzi się tutaj o ich bezpieczeństwo. Jeżeli wyjadą, Larsan zdoła ich odszukać i zjawi się przed nimi w chwili, gdy najmniej będą się go spodziewali. Tutaj są strzeżeni, za granicą zaś zamku będą oddani każdorazowo na łaskę chwilowego otoczenia. Prawda, że sytuacya ta nie może się dłużej ciągnąć, ale też Rouletabille żąda tylko ośmiu dni dla zupełnego ich zabezpieczenia.

Darzac opuścił nas strasznie zirytowany. Poraz pierwszy widzieliśmy go w takiem usposobieniu.

Rouletabille po chwili milczenia odezwał się.

— I pani Darzac nas nie opuści i pan Darzac pozostanie.

Po tych słowach wyszedł z sali wojennej.

W kilka minut później ujrzałem nadchodzącą panią Edytę. Ubrana w wykwintną lecz skromną toaletę wyglądała czarująco. Kokietująco, udając wesołość, zaczęła żartować z powagi, z jaką spełniam swój obowiązek. Odpowiedziałem jej żywo, że te wszystkie trudy, jakie znosimy, służą do obrony najlepszej z kobiet. Roześmiała się na to głośno i rzekła:

— Dama w czerni!... Wszystkich więc oczarowała!...

Jak rozkosznie się śmiała! W innej chwili nie pozwoliłbym odzywać się w ten sposób o Damie w czerni, lecz ranka tego nie mogłem się gniewać... nawet śmiałem się razem z nią.

— Przyznaję, że jest to prawda, — odpowiedziałem.

— Mój mąż jest jak zwaryowany!... Nigdy nie podejrzewałam w nim tyle romantyczności! Lecz cóż począć, dodała, kiedy ja sama jestem romantyczna.

I spojrzała na mnie omdlałym wzrokiem, który mnie zawsze wzruszał.

— Ah!...

Tyle tylko mogłem powiedzieć.

— Znajduję też — mówiła dalej, wielką przyjemność w rozmowie z księciem Galiczem, który jest romantyczniejszy od was wszystkich.

Musiałem zrobić śmiesznie żałosną minę, gdyż strasznie się rozweseliła. Co za dziwna kobieta!

Zapytałem, kto jest ten książę Galicz, o którym często wspomina, a którego nigdzie nie widać.

Odrzekła, iż ujrzymy go na śniadaniu; dała mi o nim kilka szczegółów. Dowiedziałem się więc, że książę Galicz jest jednym z najbogatszych magnatów Rosyi. Młody, dwudziestoletni odziedziczył po ojcu olbrzymie dobra, które zdołał jeszcze powiększyć oszczędnością, jakiej nikt nie spodziewałby się w człowieku oddanym polowaniu i książkom. Uchodził za wstrzemięźliwego skąpego i poetę. Piastował także wysoką godność przy dworze. Był szambelanem i opowiadano, iż cesarz otaczał młodego człowieka wielką życzliwością z powodu zasług jego ojca. Był on wykwintny jak kobieta, a zarazem bardzo silny. Jednem słowem magnat ten miał wszelkie zalety, mimo to stał się dla mnie choć go nie widziałem, antypatycznym. Przed dwoma laty kupił tutaj wspaniałą posiadłość z rozkosznemi tarasami i wiszącemi ogrodami, którą nazywano też w okolicy „babilońskimi ogrodami“. Miał sposobność oddać kilka usług pani Edycie, gdy ta zakładała ogród w zamku. Państwo Rance zapraszali nieraz księcia na obiad. Sąsiad ten spodobał się pani Edycie, deklamował jej nieraz wiersze rosyjskie, które następnie tłomaczył na angielski, a także pisał i poezye angielskie dla niej, tylko dla niej samej. Artur Rance nie zachwycał się jednak swym gościem, a nawet nie skrywał, iż nie wyobraża sobie poety skąpego! I ja byłem tego zdania. Książę nie miał koni, jeździł tramwajem i często sam chodził po sprawunki na targ, a tylko jedyny jego służący Iwan nosił za nim koszyk. Rzecz dziwna, że pani Edyta widziała w tem niezwykłem skąpstwie pewną orginalność. Przytem nikt nigdy nie był u niego. Nigdy nie poprosił państwa Rance do swego ogrodu.

— Czy jest ładny? — zapytałem, gdy skończyła swój panegiryk.

— Bardzo ładny! — odpowiedziała. Przekona się pan!...

Nie wiem dlaczego odpowiedź była mi bardzo niemiłą. Ciągle o tem myślałem, aż do końca swej straży, czyli do godziny pół do dwunastej. Na pierwsze uderzenie dzwonu pobiegłem się umyć, zrobiłem swą toaletę i szybko udałem się do Wilczycy, sądząc, iż tam będzie podane śniadanie. Zdziwiony zatrzymałem się w westybulu, słysząc muzykę. Kto w podobnych okolicznościach może grać w forcie? Ale i śpiew się rozlega: jakiś głos łagodny lecz męski roznosił melodyę dziwnie żałośną, to znowu groźną. Otworzyłem drzwi do sali i znalazłem się wobec młodego człowieka, który powstał. Za sobą usłyszałem kroki pani Edyty. Przedstawiła nas. Był to książę Galicz.

(Ciąg dalszy nastąpi).